

Biblioteka
U.M.K.
Toruń

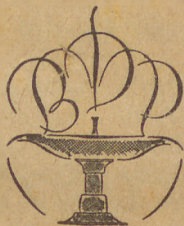
346346

KAZIMIERZ LASKOWSKI

„KULTURTRAEGER“

POWIEŚĆ

[cz. 2]



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

5

Tłoczono w Zakł. Graficznych
B. Wierzbicki i S-ka
w Warszawie.

346346



K. 822/63

I.

W dwa tygodnie po straszliwym wypadku, w saloniku Olszyńskich siedział Horst Kurzbach, przerzucając kartki leżącego na stole albumu. Młody dyrektor bywał tu teraz częstym gościem. Zachodził codziennie dowiadywać się o zdrowie, pasującego się z groźną chorobą Jana.

W salonie nie było nikogo, głucha cisza zalegała cały dworek.

Horst, posiedziawszy chwilę, porzucił oglądanie albumu i powstawszy, uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju, ale i tam nie było nikogo. Cofnął się przeto i oczekiwał w dalszym ciągu.

Po chwili dało się słyszeć ciche szłapanie i do salonu weszła pani Olszyńska. Staruszka zmieniła się nie do poznania. Zgarbiła się, zmałała prawie. Oczy zaczerwienione, twarz pożółkła, pobrużdżona fałdami zmarszczek, świadczyła o przebywanych dniach ciężkiego smutku.

Ujrzawszy gościa, próbowała uśmiechnąć się przyjaźnie, ale skurczone zgrzyotą oblicze nie umiało już odbić innego, prócz smutku, uczucia.

— Jak się ma nasz chory? — spytał młody Kurzbach, składając pełen uszanowania ukłon.

Złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Tej nocy gorączka była mniejsza — wyszeptała.

— A rana? — spytał.

— Już prawie zablizniona... Ale oko... oko... — załkała.

— Pani dobrodziejko! — podchwycił gorąco. — Doktor zapewnił mnie słowem uczciwego człowieka, że byle tylko pan Jan, przyszedłszy do sił, zechciał się poddać operacji, to ta niechybnie się uda. Arterje nienaruszone...

Załamala ręce.

— Więc koniecznie operacja?! — westchnęła z przestachem.

— Zareczam, że nic bolesnego, droga pani! — upewnił Kurzbach, ze wzruszeniem patrząc na zgnębiającą postać staruszki. — Nic bolesnego — powtórzył. Wywieziemy pana Jana do Wiednia, zawezwiemy najsłynniejszych specjalistów. Pisałem już nawet do znajomych zapytaniem o szczegóły... Niechże pani dobrodziejka będzie dobrej myśli — dodał i ująwszy rękę Olszyńskiej, pocałował ją.

Staruszcze łzy puściły się ciurkiem.

— Ach! jaki pan dobry! — szepnęła z przejęciem.

Potrząsnął głową przecząco.

— Zawstydzam cię doprawdy pani dobrodziejka niezasłużoną pochwałą. Ja tylko wdzięcznym być powinienem... ja i ojciec. Syn pani to bohater, przed którym kolana giąć i czołem bić. Pani dobrodziejko! ja i ojciec mój uważać się będziemy za szczęśliwych, jeśli choć w setnej części uda nam się wynagrodzić ten... tę...

Nie znalazł odpowiedniego wyrazu, więc urwał, a po chwili spytał:

— Czy można chorego odwiedzić?

Na twarzy Olszyńskiej odmalował się frasunek.

Przeszło jej przez myśl, że osłabionemu niezmiernie Janowi wszelkie wzruszenie zaszkodzić może, jak

również i to, że obecność Kurzbacha może mu być mniej miłą. Przytem bolesna rana nie dozwalała choremu rozmawiać, sam zaś widok ludzi potęgował w nim uczucie dozgonnego nieszczęścia.

Pomimo przeto licznych wizyt i kondolencyj, z jakimi ogólnie pospieszono, nie dopuszczała do łóżka syna nikogo. Raz jeden zrobiła wyjątek dla Bruzdowicza i Wandy, którzy natychmiast na wieść o wypadku przybyli, a i tego musiała żałować. Jan w przebłysku przytomności, posłyszawszy głos ukochanej, ściągnął obwiązującą ranę opaskę i ze strasznym jękiem zerwał się z pościeli. Odtąd lekarz najsurowiej zabronił odwiedzin, nikt też, prócz matki i siostry, nie wchodził do pokoju chorego.

Jednakże Kurzbachowi nie wypadało odmawiać. Jemu zawdzięczała życie syna. Na własnych rękach wyniósł poranionego Jana z dyszącej zagładą czeluści; pierwszy, gdy inni przytomność stracili, on starał się o pomoc lekarską, a później z iście braterską pieczołowitością dowiadywał się o jego zdrowie, z iście synowskimi wylaniem chciał ulżyć jej cierpieniom, a i teraz nawet przychodził, jak o łaskę prosić, aby jego pomoc przyjęła.

Przez chwilę zawahała się w rozterce sprzecznych uczuć, a potem spojrzawszy błagalnie na gościa, przemówiła prosząco:

— Jasiowi nie wolno jeszcze rozmawiać. Ale, jeżeli pan chce zobaczyć, to służę. Podreptała na palcach i uchyliła delikatnie drzwi, wiodące do sąsiedniego pokoju. Kurzbach również na palcach pośpieszył za nią. Przystanęli w progu.

Chory spał.

Olszyńska położyła palec na ustach.

— Spi — ostrzegła szeptem.

Siwe oczy Horsta powlokły się rzewnością i smutkiem. Pobladł. O kroków kilka miał przed sobą pasującego się między życiem a śmiercią człowieka,

wroga swej rodziny, którego niegdyś nienawidził, a teraz mimowoli szanować musiał, jak bohatera.

W pokoju było ciemno. Zapuszczone szczelnie rolety nie dopuszczały dziennego światła. Tylko mała olejna lampka, osłonięta ekranem, rzucała nikiłe błyski na stolik zastawiony lekarstwami. Wśród głuchoj ciszy, miarowo, jak cykanie zegarka, rozbrzmiewał ledwie dosłyszalnym echem, krótki, urywany oddech chorego.

Olszyński leżał na wznak z obandażowaną wzdłuż czoła, po przez oczy, głową. Ciemny, nierówny zarost, podnosił jeszcze bladłość bezkrwistej cery. Wyschnięte ręce zwieszały się ku krawędzi łóżka bezwładnie. Piers nie wznosiła się prawie, tylko niekiedy blade wargi poruszały się kurczowo.

Niekiedy rozchylały się zlekka usta chorego, wybiegał z nich jęk cichy i twarz krzywiła się piętnem bólu.

Olszyńska, jakby się bała spłoszyć nikłych oznak życia, stała nieruchomie z rękoma przyłożonemi do klamki, wstrzymując oddech. Łzawe oczy staruszki, śledząc z niepokojem każdy ruch dostrzegalny w obliczu syna, zwracały się chwilami na stojącego obok Horsta, zdając się mówić:

— Widzi pan! widzi pan! jak ten biedak cierpi!

Kurzbach, postawszy chwilkę, cofnął się dyskretnie za próg. Widok tej walki o życie wzruszył go do głębi. Uczuł, że następuje jakiś przewrót w jego pojęciach, że w duszę wdzierają się nieznane mu dotąd refleksje, że inne wierzenia robią wyłom w jego sercu. Przebiegł myślą dotychczasowy stosunek z Olszyńskimi, aż do ostatniego momentu. Ogarnęło go wrażenie niesmaku, prawie że zawstyżenie. Daremnie usiłował tłumaczyć się przed samym sobą, że osobiście niczem tak dalece względem Jana nie zawinił. Głos wewnętrzny z bezwzględną otwartością mówił co innego. Nawet w tem, co dobrem mienił, dostrzegł te-

raz niskość pobudek, nawet dzisiejsza obecność jego nie była bez skazy. Poza osłoną współczucia tkwiła chęć inna, samolubna, ożłocona jedynie odblaskiem szlachetnego uczynku, wyrachowanie na popis i coś więcej jeszcze.

Ludzie lubią, by ich widziano, gdy są dobrymi. Podobne pragnienie owładało młodym Kurzbachem, kierowało jego wolą.

Rzucił się bez namysłu na ratunek Olszyńskiego, bo zaimponowała mu bezgraniczna odwaga człowieka, co nie zawahał się przed niechybną śmiercią. Więc nie chciał być odeń gorszym. Potem rozbudziła się w nim nie wdzięczność sama, lecz poczucie potrzeby tej wdzięczności, rodzaj przymusowego dalszego ciągu, który aż do kropki wykończyć należało.

Wówczas nie analizował wprawdzie pobudek, i zdawało mu się, że idzie wyłącznie za głosem serca, czy obowiązku, ale dziś, wobec tego łoża, wobec tych rysów, z których lada chwila mogło ulecieć życie, poznawał z wyrzutem, że raz stanąwszy na fałszywym gruncie, szedł po nim aż do tej pory.

Cała jego tkliwość, współczucie, pomoc wreszcie, jakiej zgodnie z wolą ojca nie skąpił, były wynikiem jego osobistych pragnień, zasługą, obliczoną na zapłatę, którą sam sobie wyznaczył.

Odwiedziny Olszyńskich były dlań przedewszystkiem wygodnym pretekstem do częstego spotykania Wali; troskliwość, z jaką wywiadywał się o przebieg choroby, wytrychem, z pomocą którego otwierał rozrzucone serce matki, zyskując jej zaufanie; do dobrego zaś zamiaru wyprawienia Jana na kurację za granicę przyczepiła się mimowolnie radosna myśl, że przez to on, Kurzbach, zyskuje swobodniejszy teren działania.

Potępiający rachunek sumienia wywołał chmurę na czole Horsta. Wrażenie, zrodzone powagą chwili, odkryło przed jego umysłem tajnie duszy, żądz ukry-

tych, które wyłoniły się teraz w całej nagości. Zdjął go wstyd i krusząca trwoga przed prawdą. W tym momencie gotów był do najwspanialszych postanowień.

Jakoż odszedłszy kroków kilka, zamyslił się głęboko. Tysiące sposobów zadośćuczynienia przesuwało mu się w kalejdoskopie dobrych chęci. Żaden jednak nie wydał mu się dość bezinteresownym, wszystkie miały podobieństwo do poprzednich jego uczynków. Uroczą twarzyczka Wali szła w parze ze schorzałym obliczem Jana, jej dźwięczny śmiech z balowej sali splatał się w jeden akord z głuchem rżeniem zboląłych piersi, wciskając się rajską ponętą w gorączkowe myśli młodego Kurzbacha. Horst chciał myśleć uczciwie, ale już nie mógł.

Chłódł też w miarę napotykanych przeciwności, znajdując dostateczne rozgrzeszenie w pozorach, stopniowo wszelkie odczuwane tak silnie obawy i skrupuły z pamięci wymazując.

Prostu zacierało się wrażenie prawdy i przestało działać.

Tymczasem pani Olszyńska, której wzruszenie przez czas pewien mówić nie dozwalało, przymknąwszy ostrożnie drzwi, aby choremu rozmową snu nie przerwać, przystąpiła do gościa z wyrazami najszczerzego podziękowania.

Horst Kurzbach był już sobą. Odpowiadał na wy-nurzenia wdzięczności zdawkowym komunałem, siłąc się na spokój, którego jeszcze w zupełności nie posiadał. W końcu między jednym a drugim frazesem rzekł:

— Ojciec wyjeżdża jutro. Jest bardzo przygnębiony tym strasznym wypadkiem, którego ofiarą padł syn pani dobrodziejki. Leży mu bardzo na sercu, aby kurację pana Jana najpomyślniej przeprowadzić. Czy mogę mu dziś zakomunikować wiadomość, że pani dobrodziejka zgadza się na wyjazd do Wiednia?

A widząc, że staruszka zwleka z odpowiedzią, dodał pośpiesznie:

— Rozumie się wtedy, kiedy stan choroby na to pozwoli. Mam nadzieję, że chwila ta niebawem nadejdzie. Co do funduszków — proszę mi wybaczyć, iż bez ogródki tej kwestji dotykam — te są już wyznaczone. Syn pani dobrodziejki zapobiegł znacznym stratom. Gdyby nie jego poświęcenie się i przytomność umysłu, cała fabryka mogła lec w gruzach. Wydatek na kurację będzie zaledwie cząsteczką tego, cośmy mu winni. Zatem? — spytał znowu.

Dziękująca ciąglem skinieniem głowy Olszyńska zachlipała. Było to wystarczającą odpowiedzią, że się zgadza.

Kurzbach zaczął się żegnać. Odprowadziła go do drzwi, dygając co krok. W progu zatrzymał się i, całując drżącą rękę staruszki, rzucił:

— Ale! ale! Nie widziałem panny Walentyny. Proszę oświadczyć moje uszanowanie.

— Dziękuję! dziękuję! — wyszeptła stara Olszyńska. — Biedne dziecko zmęczone. Czuwała przy chorym noc całą, mnie wyręczając.

— Rzeczywiście, przechodzą panie nader ciężkie chwile — napomknął. — Tyle nocy... Czy nie można by felczera fabrycznego osadzić przy chorym?

— O nie, nie! Jaś budzi się w nocy... woła... Przywykliśmy już do tego. Odpoczywamy z wieczora. Pocziwy pan Stanisław — dodała z westchnieniem — zastępuje nas przez parę godzin.

— A! pan Słodowski? — wtrącił pytająco. — I ten nosi ślady strasznego wypadku. Poparzony był ogromnie.

— Jeszcze mu się twarz całkiem nie wygoiła. Rzadkiej zachości człowiek... a dla Jasia... dla nas...

Nie dokończyła z rozczulenia. Kurzbach potaknął gestem, jeszcze raz pocałował rękę staruszki i wyszedł. Przeszedł wolnym krokiem pod oknami, stara-

jąc się zająrzeć do środka. W jednym z okien poruszyła się firanka. Horst przystanął. Zdawało mu się, że przez hafty muszliny dojrzał twarz Wali. Istotnie nie mylił się. Drobną rączką uchyliła rąbek firanki, różowy paluszek dotknął kilkakrotnie szyby. Horst odsonił głowę.

— Dzień dobry! — zaczął, zbliżając się.

— Dzień dobry — zabrzmiał dźwięczny głosik i z poza firanek wyjrzała para zmęczonych nieco, ale mimo to oprawnych w uśmiech oczu.

Horst przesłał ręką ukłon. Nie wypadało mu wystawać pod oknem, więc zrobił ruch, jakby miał zamiar zawrócić z powrotem. Ruszył nawet kilka kroków ku gankowi, ale w tej chwili we wnętrzu mieszkania rozległo się stłumione wołanie, twarzyczka Wali znikła, firanki zasunęły się. Widocznie pani Olszyńska weszła do pokoiku córki.

Horst nie czekając dłużej, oddalił się pośpiesznie, pomrukując półgłosem:

— Trzeba Olszyńskiego co rychlej wysłać zagranicę. Potem dam sobie już z małą radę...

Pokręcił wężem. W siwych jego źrenicach zaświeciło lubieżne zadowolenie, zacierając odniesione przy łóżu chorego wrażenia.

II.

Nigdy jeszcze Otto Kurzbach nie bawił tak długo nad Wisłą, jak obecnie.

Wybuch kotła, prócz szkód, poczynionych w zruirowanym budynku i zepsutych maszynach, spowodował konieczną zwłokę w samej fabrykacji. Przez dwa tygodnie stała cukrownia bezczynnie. W dodatku należało zmniejszyć dzienną przeróbkę buraków. Z dziesięciu kotłów dwa okazały się zupełnie niezdat-

nemi do użytku, a że o sprowadzeniu nowych narażenie nie mogło być mowy, wypadło tedy, ograniczywszy konsumpcję pary, zredukować przerób do minimum. Wszystko to narażało na poważne materialne straty.

Stary Kurzbach struty był i przygnębiony. Nie wątpił, że nieprzyjaciele nie omieszkają wyzyskać nieśczęśliwego wypadku na jego niekorzyść. Gniewało go to tembardziej, że jedyny środek powetowania strat wymykał mu się z ręki. Przychodziły mu do głowy różne *oszczędności*: obniżenie płacy robotnikom, skąsowanie zasiłku na szpital, a nadewszystko zapocząte już poprzednio zredukowanie ceny buraków. Rozwaga głębsza kazała jednak zaniechać tych środków. W dzisiejszych okolicznościach nie należało jątrzyć, lecz łagodzić.

Nabrawszy tego przeświadczenia, stary Kurzbach odrazu zmienił taktykę. Odłożywszy swój wyjazd, przedewszystkiem zajął się jaknajszybszem uskutecznieniem najpilniejszych reparacyj, ze zdwojoną energią kierując osobiście robotami. Równocześnie rozesłał do plantatorów okólnik z zawiadomieniem, że fabrykacja nie ulegnie dłuższej przerwie, a kontrakty nadal na dawnych warunkach odnawiane być mogą. Zabezpieczwszy się z tej stroany, polecił synowi zając się pieczołowicie chorym Olszyńskim, sam też podsunął myśl wysłania Jana kosztem fabryki na kurację do Wiednia — i był bardzo zadowolony, dowiedziawszy się, że pani Olszyńska z wdzięcznością tę propozycję przyjęła.

Swoją drogą prowadził najsurowsze śledztwo, aby się o przyczynie wypadku dowiedzieć.

Śledztwo, podjęte przez władzę, nie wykryło nic zgoła. Palacze zeznali pod przysięgą, że nikt obcy tej nocy do kotłowni nie zachodził; co się zaś tyczy *szpajzera* Kuntzego, ten popadłszy w obłęd, nie mógł dać żadnych wyjaśnień.

Wiadomem tylko było, że kran, służący do

spuszczania wody z kotła, był naumyślnie odkręcony, co nie pozwalało już wątpić o istnieniu zbrodniczej ręki. Przez otwarcie kranu, woda, pompowana w kocioł, odpływała natychmiast — i to wywołało katastrofę.

Okoliczność ta nasuwała domysł strasznej zemsty.

Ostatecznie zaniechano bezowocnego śledzenia, zwalając całą winę na niedozór oszalałego Kuntzego.

Nareszcie można już było ponownie puścić w ruch cukrownię. Wszystko wracało do zwykłego trybu. Stary Kurzbach mógł odjechać. Jakoż na drugi dzień po ostatniej bytności Horsta u Olszyńskich postanowił nieodwołalnie wyjechać.

Od rana gotowano się do podróży.

Otto Kurzbach, żując niecierpliwie wargami, przechadzał się po kantorze, oczekując na konie. Obok niego kręcił się buchalter, kasjer, magazynier i maszynmajster. Przyszedł również Słodowski pożegnać administratora. Brakowało tylko Gzyckiego, którego wyprawiono przodem na przejazd. Wszyscy mieli zafrasowane miny.

Stary Kurzbach, chodząc dużymi krokami, rzucał ostre, urywane zdania. Burczał, wymyślał w ostatniej chwili, nie oszczędzając nikogo. Tematu dodawały mu straty, jakie fabryka wskutek wybuchu poniosła. Dostało się każdemu po kolei, a najwięcej maszynmajstrowi, któremu pozbawieniem gratyfikacji zagroził. Jednego tylko Słodowskiego nie zaczepiał. Była to najwyraźniejsza antyniemiecka demonstracja.

Przywykli do karności, oficjaliści milczeli.

Niebawem zajechał czworokonny pojazd, i równocześnie we drzwiach kantoru ukazał się młody Kurzbach ze słowami:

— *Schon fertig!*

Stary jał się żegnać, ale sztywno, wyniośle, zaledwie że końce palców podając do uściśnienia. Na-

wet względem buchaltera był do ostatka wyniosły. Kiedy jednak zbliżył się do trzymającego się na uboczu Słodowskiego, przybrał pogodniejszy wyraz twarzy i, ująwszy chemika kordjalnie za rękę, rzekł z uśmiechem:

— To, co przed chwilą mówiłem, nie odnosi się do pana. My, Niemcy, jesteśmy sprawiedliwi. Zyczę sobie, aby pan do chwili wyzdrowienia pana Olszyńskiego pełnił jego obowiązki. Niech się pan porozumie — wskazał głową na Horsta — z synem.

Ostatnie zdanie wymówił podniesionym głosem, tak, aby wszyscy słyszeć mogli. Poczem, nim zakończony niespodzianą łaską Słodowski zdążył podziękować, skinąwszy głową, wyszedł w towarzystwie syna, zmierzając ku powozowi.

Idąc, mówił:

— Słuchaj, Horst! Zrobiłem małą demonstrację, słyszałeś?

Uśmiechnął się.

— Uczyniłem to umyślnie. Teraz nie powinni już gadać, że prześladowujemy Polaków. *Nich wahr?* Wypraw ty tego Olszyńskiego najspieszniej. Będzie to nowy dowód, że nie rządzymy się stronnością. Słodowskiemu dałem zastępstwo. Trzeba mu podwyższyć na ten czas pensję. To była dobra myśl... prawda? Przeszaną krzyżec? Jak myślisz?

— Powinni.

— A ten wypadek — zaczął znowu — mógł nam grubo zaszkodzić. Musiałem temu zapobiec. Do ciebie należy reszta. Gdyby było coś ważnego, pisz lub telegrafuj. A teraz... bądź zdrow!

Pocałował syna dwukrotnie w czoło i, stając na stopniach pojazdu, rzucił jeszcze szeptem:

— Kochaj się w Olszyńskiej... *Fesches Mädel!* ale pamiętaj, że byłoby nieźle, gdybyś się z Bruzdowiczówną ożenił. Asymilujmy!

Horst odpowiedział uśmiechem. Stary, zagłębiw-

szy się w powozie, jeszcze raz powtórzył: „pamiętaj!“, — i rozkazał stangretowi ruszyć.

— *Zum Wiedersehen! Zum Wiedersehen!* zabrzmiały okrzyki ugrupowanych w sieni oficjalistów.

I pojazd, wiozący Ottona Kurzbacha, potoczył się po brukowanym podwórzu fabryki.

Czas jakiś stali jeszcze wszyscy, potrząsając wzniesionymi w górę czapkami. Wreszcie powóz znikł za bramą. Teraz rozległ się szmer poufnych uwag. Urażeni surowem obejściem zwierchnika, niemieccy oficjaliści nie taili oznak niezadowolenia i w oczekiwaniu jakichkolwiek łagodzących wyjaśnień, spoglądali ciekawie na młodego Kurzbacha, którego twarz niemniej zdawała się mówić: „nakoniec pozbyłem się kłopotu“.

Czem ośmielony buchalter, podszedłszy doń, zagadnął tonem wymówki:

— Dyrektorze! Ojciec pana na wyjeździe był w niezwykle złym humorze.

— Sądzę, że ostatnie wypadki nikogo z nas nie mogły usposobić dobrze — odrzekł Horst Kurzbach chłodno z nakazującym wejrzeniem. Poczem, odszukawszy oczyma Słodowskiego, rzekł:

— Panie Słodowski, proszę ze mną.

I skierował się do swego mieszkania.

Landsmani spojrzeli z ukosa.

— *Das ist etwas ganz neues!* — mruknął masyzynmajster.

— Nowy kurs! — zaśmiał się drwiąco buchalter.

Coś podobnego przeszło przez głowę Słodowskiego. Idąc, myślał:

— Mizdrzą się Szwaby. To nie bez kozery. Musi być z nimi krucho. Ale co im na mojej figurze zależy, to, jak Boga kocham, nie wiem.

I postanowił być ostrożnym.

Jakoż znalazłszy się w gabinecie dyrektora, dłu-

go z nieufnością śledził zachowanie się młodego Kurzbacha.

Ten na wstępie poczęstowawszy gościa cygarem, położył przyjacielsko rękę na jego ramieniu i po krótkim wahaniu przemówił:

— Liczę na pana, że mi w dobrej sprawie zechcesz być pomocny.

— O cóż dyrektorowi idzie? — spytał chemik.

Horst zastanowił się chwilę.

— Widzisz pan — zaczął znów — niedawno przebywam w kraju i sądzą, że osobiście — podkreślił z naciskiem ten wyraz — nie naraziłem się nikomu. A jednak... jednak powiem bez ogródki, spotkałem się już z taką niezasłużoną niechęcią ludzi, których cenię, że doprawdy jestem w obawie, aby czynów mych i kroków i nadal fałszywie nie sądzono.

— Objeżdża mnie, jak szaraka w kotlinie — pomyslał Słodowski, lecz nie przerywał.

Horst mówił w dalszym ciągu:

— Przyczyn napotykaniej nieufności rozstrząsać nie chcę. Ale leży mi na sercu zyskanie zaufania w waszych kołach. Z panem będę szczerzy... Jesteś przyjacielem Olszyńskiego... Ja jego niezmiernie cenię, a całemu domowi życzę jak najlepiej. Obecnie, po tym nieszczęśliwym wypadku, podwójnie pragnąłbym przyjść im z pomocą. Olszyńskiego trzeba coprędzej wysłać na kurację...

— Mówiła mi pani Olszyńska, że to już zdecydowane — wtrącił Słodowski.

— Tak. Ale przewiduję, że sam chory, po wyzdrowieniu, gotów nie zgodzić się na to. Pan Jan jest do mnie uprzedzony...

Urwał, czekając na odpowiedź.

Słodowskiego zaczęły brać te słowa. Wszystko, co Olszyńskich dotykało, było mu tak bliskiem, tak drogiem, że zapomniawszy się, chwycił Horsta za rękę i, potrząsając silnie, zawołał:

— Żeby tam niewiedzieć co, pojedzie!

Kurzbach odplacił mu uściskiem, badawczo przyglądając się rozjaśnionej twarzy chemika.

Ten zaś, wpadłszy w entuzjazm, zatarł ręce i prawie z poufałością mówił w dalszym ciągu:

— Ja panu jeszcze coś doradzę. Mam myśl! Słowo honoru, mam myśl! Pojedź dyrektor do Brzostowa! Dla Jana życzenie panny Wandy będzie wszystkim. Gdyby się nawet chciał opierać, ustąpi w końcu. Weźmiemy go we dwa ognie. Jeżeli dyrektorowi naprawdę o to idzie, radzę tak zrobić, a ręczę za skutek. Swoją drogą, ja nie pomnę żadnej sposobności... Trzeba koniecznie, żeby jechał... Trzeba koniecznie! — powtórzył niejako sam do siebie.

— Naturalnie! Inaczej gotów stracić wzrok. Co się tyczy Brzostowa... masz pan rację. Panna Wanda — to najpewniejszy w tym wypadku sprzymierzeniec. Wybiorę się jeszcze dzisiaj.

Słodowski potaknął skinieniem.

— Możebyś i pan ze mną przejechał? — spytał od niechcienia młody Kurzbach.

— Ej nie! Ja wolę...

— Ja wolę odwiedzić Olszyńskich — odpowiedział za niego młody Kurzbach, uśmiechając się znacząco.

Słodowskiego pons oblał. Chciał coś odpowiedzieć, ale się zaciął, straciwszy dotychczasową pewnością siebie. Wziął za czapkę, dając tem do poznania, że chce odejść. Kurzbach nie zatrzymywał go dłużej.

— Pamiętaj pan — rzekł, uprzejmie żegnając zasfrasowanego chemika — że liczę na niego.

Kiedy zaś Słodowski wyszedł, podszedł do okna i wybuchnął śmiechem:

— Mam więc w tym niedźwiedziu rywala!

Machnął ręką z lekceważeniem.

— Swoją drogą pojedę do Brzostowa. W najgorszym razie będę miał wiarogodnych świadków, że

chciałem Olszyńskiemu przyjść z pomocą. Bo ja im przecie naprawdę chcę dopomóc — dokończył w myśli, wydobywając z portfela fotografię Wali.

Wieczorem wrócił z Brzostowa w wyśmienitym humorze. Misja udała się najzupełniej. Stary szlachcic, żegnając gościa, przemówił doń z rozczuleniem:

— Pan jesteś już *nasz*, panie Kurzbach!

Było to ze strony nieprzejednanego Bruzdowicza tak wiele, że Horst Kurzbach, pomimo przyjemnego wrażenia, jakie na nim te słowa wywarły, pomyślał:

— Sztuką Niemców tłuką — mówicie... Coby też o was powiedzieć należało? Idealiści!

III.

Jan miał się o tyle lepiej, że, zdaniem lekarza fabrycznego, mógł już bez żadnego niebezpieczeństwa odbyć podróż. Rana zablizniła się zupełnie, sił przybywało. Chory bez niczyjej pomocy dźwigał się na łóżku, przepędzając godziny całe w pozycji siedzącej.

W serce wyczerpanej troską i bezustannem czuwaniem staruszki wstąpił złoty promyk radosnej nadziei. To ją jedynie trwożyło, że Jan, w miarę wracającego fizycznego zdrowia, zapadał w rodzaj bezdusznej apatii, jakby nie zdawał sobie sprawy z położenia, w którym się znajdował. Nic go zgoła nie interesowało. Na wszystko odpowiadał bezmyślnym uśmiechem, lub również bezmyślnem:

— Dobrze...

Niekiedy znowu myślał nieprzytomnie, bo sam zapytywał o rzeczy obojętne, a gdy mu odpowiadano na zadane pytanie, usypiał. Chwilami jednak zdawał się cucić z odrętwienia. Wtedy rozglądał się ciekawie zdrowem okiem po pokoju, po otaczających go sprzę-

tach, wzdychał ciężko, lub tklwym głosem wołał matki. Znajdująca się zawsze w pobliżu, pani Olszyńska przybiegała coprędzej, siadała przy chorym, brała go za wychudłą rękę, starając się wyczuć, czego ten jej ukochany zapragnąć w tej chwili może.

A on, nie puszczając jej ręki, pytał tylko:

— Mamo! Czy ja dawno już leżę?

Lub:

— Dlaczego tu tak ciemno?

Staruszce łzy zbierały pod powieką...

— Doktor nakazał—odpowiadała szeptem, ukrywając straszną prawdę. — Ale to już niedługo, synku! Tak bywało codziennie.

Wreszcie i owo uspakajające „niedługo“ miało się skończyć.

Dzień był mroźny, ale piękny, bez wiatru. Z polecenia lekarza uchylono w pokoju lufcik, dla wypuszczenia świeżego powietrza, Jan był tego dnia zdrowszy, pierwszy raz od czasu choroby sam zawołał o śniadanie! Wypił ze smakiem podaną herbatę, okazując przytem niezwykle ożywienie. W końcu oświadczył, że chce się ubrać i posiedzieć troszkę w fotelu. Z niepomierną radością uczyniono zadość temu życzeniu. Nadszedł w sam czas Słodowski i pomógł.

Usadowiono się obok i zaczęto rozmowę, jakiej już dawno, bardzo dawno nie prowadzono. Obojętny dotychczas na wszystko, Olszyński jał się teraz wypytywać o najdrobniejsze szczegóły swej choroby. Słuchał spokojnie, czasami tylko nerwowem poruszeniem rąk okazując wzruszenie. Słodowski, któremu radość zalewała piersi, opowiadał:

— Powiadam wam, jakeście skoczyli w to piekło... mnie ciarki przeszły! Jabym tego nie zrobił...

— Nieprawdę mówi pan Stanisław — napomknęła Wala — bo...

— O, wielka rzecz! Za panią matką pacierz idzie gładko — nie dając jej dokończyć, rozповідаł w dal-

szym ciągu, rumieniąc się, chemik. — Niemcy, powiadam wam, zdębieli. Sunałem i ja za wami, ale odrzuciło mnie jak piłkę... poleciałem przez buraczarnię.

— Pocziwy! — wybiegło z ust Olszyńskiego i matki równocześnie.

Wala wtrąciła:

— Potem to i pan Horst wdarł się przez okno.

— A jakże! — potwierdził Słodowski. — Żeby nie on, kto wie, coby się stało. Niema co mówić, zuch!

— Z ludzi nikt nie zginął? — spytał Olszyński.

— Nikt. Jednego z robotników potłukło trochę. Tylko ten biedny Kuntze zwarjował.

Na te słowa chory chwycił się raptownie za głowę.

Szparami zaluzuj wdarło się kilka nitek słońca, oświecając ściągnięte rysy chorego żółtym, jak wosk, połyskiem.

Staruszka spojrzała z wyrzutem i przerażeniem na Słodowskiego. Ten zaś zamiarkowawszy, że powiedział zawiele, jał coprędzej zaleknionym głosem przeinaczać niepożądaną wiadomość, kłamiąc pocziwie, że *szpajzer*, po chwilowem wstrząśnieniu, wywołanem przestraszchem, przyszedł już do siebie.

— Przestraszył się Niemczysko, rzecz prosta przez parę dni bredził, ale teraz, słyszałem, ma się już lepiej. Nic mu nie będzie... nic mu nie będzie... — upewniał, zamieniając znaczące spojrzenie z paniami.

Olszyński siedział ze spuszczoną na piersi głową, czas pewien, jak odrętwiały, ręka nie odrywała się od czoła. Wreszcie machinalnie powtórzył:

— Nic mu nie będzie... nic... powiadacie? Nic... powiadacie?...

Otaczający potaknęli gorąco.

— A mnie? — spytał cicho, ledwie dosłyszalnym szeptem.

Pani Olszyńska, tłumiąc zatrwożenie, zaczęła strofować żartobliwie:

— Niedobry jesteś, Janie! Przybierasz sobie do głowy niepotrzebnie... Chwała Najwyższemu, że cię wśród niebezpieczeństwa ustrzegł! A ty jeszcze...? Rozpieściłeś się w chorobie, synku! Komplementów ci się zachciwewa. Dałbyś pokój... — Uśmiechnęła się, przykładając usta do twarzy chorego.

Z drugiej strony Wala, przytuliwszy się do pierśi brata, jąkała napominającym niby to głosem:

— Oj! braciszku! braciszku!

Słodowski niemniej począł, za przykładem kobiet, dopowiadać:

— Wy bo... chcielibyście odrazu... na równe nogi! A może nawet do fabryki?... Jeszcze czego! — burczał. — Trzeba trochę fałdów przysiedzieć. Mnie ot tak... trochę mimochodem drasnęło, a lizałem się cały tydzień... Nieprawda? — powoływał się na świadectwo Olszyńskiej.

Chory uniósł głowę. Powiódł niepewnym wzrokiem wokół, po twarzy przesunęło mu się odbicie toczonoj w duszy głuchej walki, straszny wysiłek skupianych gwałtem myśli odmalował się na schorzałych, wysuszonych policzkach. Otwierał kilkakrotnie usta. W miejsce słów wybiegało westchnienie.

Wreszcie przemówił:

— Ja rzeczywiście musiałem być bardzo słaby... bo nic nie wiem, nic nie pamiętam... Ale będę zdrow... o będę... Mamo!... Walu!... takbym chciał... takbym chciał...

Potem spokojniej już poprosił:

— Opowiadajcie, jak to było.

— A może cię słuchanie nuży, Jasiu? — zapytała wylękniona staruszka.

Zaprzeczył, ponawiając żądanie.

Zaczął tedy opowiadać mu w dalszym ciągu, ale z większą już oględnością, z pominięciem zbyt bolesnych szczegółów.

Słuchał nie przerywając, niekiedy tylko ruchem ręki dając poznać, że wszystko pojmuję.

W miarę opowiadania, zdawał się ożywiać. Nawet nikły przeblysł uśmiechu pojawiał się chwilami na jego ustach. Widocznym było, że już pamięcią zapanaował nad tokiem wypadków, a i świadomość obecnej chwili mniej go wzrusza.

Jakoż rzeczywiście tak być musiało, gdyż teraz począł się sam mieszać do rozmowy, rzucając urywkowe pytania. Kiedy zaś Wala opowiedziała o powszechnym współczuciu i życzliwości, jakich w czasie jego choroby doznawały, rzekł z rozrzewnieniem:

— Chciałbym jak najprędzej podziękować. Ja bym już na upartego mógł wyjść na świat Boży. Naprawdę mógłbym... Czuję się dość silnym...

I na potwierdzenie tych słów oparł się dłonią o poręcz fotelu, próbując wstać. Ale siły zawiodły.

— Nie męcz się, Jasiu! — upominała matka — do czego to podobne!

A Słodowski zawołał:

— Nie mówiłem! Z wami — jak z dzieckiem! Przez dwa tygodnie prawie nic nie braliście w usta. Skądże mają być siły! Trzeba się najpierw odreperować! A rosółku nie łaska!

Poczem, wymieniwszy spojrzenie z panią Olszyńską, zażartował:

— Zgaduję, gdzie to tak panu Janowi pilno! Do Brzostowa!... Idąc do państwa, spotkałem właśnie konnego stamtąd...

— Mamy list od Wandzi — wtrąciła Wala. — Obiecali się dzisiaj...

— Poczciwi! codziennie prawie ktoś nas odwiedza — odpowiedziała staruszka, badawczo śledząc wrażenie, malujące się na twarzy syna.

Temu, na wzmiankę o Brzostowie, błada twarz zaczęła dygotać, lekki rumieniec siadł na policzkach,

— Niedobry jesteś, Janie! Przybierasz sobie do głowy niepotrzebnie... Chwała Najwyższemu, że cię wśród niebezpieczeństwa ustrzegł! A ty jeszcze...? Rozpieściłeś się w chorobie, synku! Komplementów ci się zachciewa. Dałbyś pokój... — Uśmiechnęła się, przykładając usta do twarzy chorego.

Z drugiej strony Wala, przytuliwszy się do pierś brata, jąkała napominającym niby to głosem:

— Oj! braciszku! braciszku!

Słodowski niemniej począł, za przykładem kobiet, dopowiadać:

— Wy bo... chcielibyście odrazu... na równe nogi! A może nawet do fabryki?... Jeszcze czego! — burczał. — Trzeba trochę faldów przysiedzieć. Mnie ot tak... trochę mimochodem drasnęło, a lizałem się cały tydzień... Nieprawda? — powoływał się na świadectwo Olszyńskiej.

Chory uniósł głowę. Powiódł niepewnym wzrokiem wokół, po twarzy przesunęło mu się odbicie toczonej w duszy głuchej walki, straszny wysiłek skupianych gwałtem myśli odmalował się na schorzałych, wysuszonych policzkach. Otwierał kilkakrotnie usta. W miejsce słów wybiegało westchnienie.

Wreszcie przemówił:

— Ja rzeczywiście musiałem być bardzo słaby... bo nic nie wiem, nic nie pamiętam... Ale będę zdrow... o będę... Mamo!... Walu!... takbym chciał... takbym chciał...

Potem spokojniej już poprosił:

— Opowiadajcie, jak to było.

— A może cię słuchanie nuży, Jasiu? — zapytała wylekniiona staruszka.

Zaprzeciżył, ponawiając żądanie.

Zaczęto tedy opowiadać mu w dalszym ciągu, ale z większą już oględnością, z pominięciem zbyt bolesnych szczegółów.

Słuchał nie przerywając, niekiedy tylko ruchem ręki dając poznać, że wszystko pojmuję.

W miarę opowiadania, zdawał się ożywiać. Nawet nikły przeblysł uśmiechu pojawiał się chwilami na jego ustach. Widocznym było, że już pamięcią zapanaował nad tokiem wypadków, a i świadomość obecnej chwili mniej go wzrusza.

Jakoż rzeczywiście tak być musiało, gdyż teraz począł się sam mieszać do rozmowy, rzucając urywkowe pytania. Kiedy zaś Wala opowiedziała o powszechnem współczuciu i życzliwości, jakich w czasie jego choroby doznawały, rzekł z rozrzewnieniem:

— Chciałbym jak najprędzej podziękować. Ja bym już na upartego mógł wyjść na świat Boży. Naprawdę mogłbym... Czuję się dość silnym...

I na potwierdzenie tych słów oparł się dłonią o poręcz fotelu, próbując wstać. Ale siły zawiodły.

— Nie męcz się, Jasiu! — upominała matka — do czego to podobne!

A Słodowski zawołał:

— Nie mówiłem! Z wami — jak z dzieckiem! Przez dwa tygodnie prawie nic nie brałście w usta. Skądże mają być siły! Trzeba się najpierw odreperować! A rosółku nie łaska!

Poczem, wymieniwszy spojrzenie z panią Olszyńską, zażartował:

— Zgaduję, gdzie to tak panu Janowi pilno! Do Brzostowa!... Idąc do państwa, spotkałem właśnie konnego stamtąd...

— Mamy list od Wandzi — wtrąciła Wala. — Obiecali się dzisiaj...

— Poczciwi! codziennie prawie ktoś nas odwiedza — odpowiedziała staruszka, badawczo śledząc wrażenie, malujące się na twarzy syna.

Temu, na wzmiankę o Brzostowie, blada twarz zaczęła dygotać, lekki runieniec siadł na policzkach,

pierś silniejszy poruszył oddech. Na rzęsach zaświeciła łza.

— I nic mi o tem nie mówicie? — przemówił z wymówką. Zaraz też zaczął na sobie poprawiać ubranie, jakby wizyta natychmiast nastąpić miała.

Słodowski stropił się wielce, obawiając się, aby wzruszająca radość nie zaszkodziła Olszyńskiemu.

Lecz obawa okazała się płonną. Jan, po niepokojącym, bezwiednym odruchu, o władnawszy wzruszeniem, podnosząc rękę matki do rozpalonych warg, odezwał się słodko i prosząco:

— Trzeba mi się będzie przebrać. Będę gości oczekiwał w salonie... Zobaczysz mama, że spiszę się dzielnie. Ale teraz muszę wypocząć... Zmęczyłem się trochę.

I zwracając się do Wali i Słodowskiego, dodał:

— Pomóżcie mi, z łaski swojej, dostać się do łóżka.

Poprowadzono go, pod ramiona ujawszy. Staruszka co prędzej poprawiła poduszki. Siadł na krawędzi łóżka, odpoczywając chwilę. Jakaś myśl błoga zaświtała w chorej głowie. Popatrzył uważnie na stojących obok Walę i Słodowskiego, zamyślił się. Panni Olszyńska wysunęła się z pokoju w celu przyniesienia limonady, którą chory gasił pragnienie.

Wala chciała uczynić to samo, sądząc, iż dłuższa jej obecność krępuje brata. Ale Jan zatrzymał ją gestem.

— Daj mi rękę, Walu — powiedział ujmująco.

Poczem, ujawszy drobną dłoń siostry, zaczął delikatnie ścisnąć różowe paluszki, bawiąc się niby dzieciak, szukający „gdzie sroczka kaszkę warzyła“ Wreszcie nagłym ruchem dotknął ramienia Słodowskiego i rzekł nieśmiało:

— Tak mi dobrze z wami, że chciałem o coś zapytać... pomówić z tobą, kolego, i z tobą, Walu... Cieszyłbym się bardzo... O! bardzo! Ale...

Urwał, ważąc myśl dalszą.

— Ale to może kiedyindziej... później wam powiem — dokończył cichnym głosem.

I opadł na poduszki.

Panna Olszyńska wybiegła szybko z pokoju, pożegnawszy chemika niemym ukłonem.

Temu w piersiach zakolała silnie, zimny dreszcz przebiegł po wszystkich członkach.

Olszyński usnął, nie rzekłszy jednego słowa więcej.

W parę minut potem szedł Słodowski do swego nieszkania z głową spuszczoną, powtarzając smutnie:

— Kiedyindziej... później. Chwała Bogu że... kiedyindziej...

Wzdychał ciężko.

IV.

— Co panu jest? — spytał Horst Kurzbach Słodowskiego, kiedy się przed wieczorem spotkali przed mieszkaniem Olszyńskich.

— Nic. Tylko chciałbym, aby Olszyński jaknajprędzej wyjechał — odrzekł tenże po niejakiem wahanii.

— Możesz pan być spokojny — zapewnił Kurzbach. — Wymowa panny Bruzdowicz poskutkuje. Zresztą przekonamy się niebawem.

— Za dni parę mógłby już pojechać. Zdrowszy jest znacznie — napomknął chemik.

— Przypuszczam, że zastaniemy pana Jana usposobionym dobrze — dorzucił Kurzbach, wstępując na ganek.

Słodowski nie przeczył.

Weszli.

W mieszkaniu Olszyńskich było gwarno, prawie wesoło.

Goście brzostowscy: pan Bruzdowicz, Wanda i ciocia Eufemja bawili już od godziny. Jan oczekiwał ich przybycia w salonie. Usadowiony wygodnie na kanapie, liczył niecierpliwie wolno płynące chwile. Był bardzo wzruszony, ale twarz miał pogodną, uśmiechniętą. Wyteżał ucho, nasłuchując turkotu, bo pani Olszyńska, obawiając się, aby go nie raził jaskrawym odbłask zachodzącego słońca, zapuściła firanki.

Pogniewał się nawet za tę zbyteczną, jego zdaniem, ostrożność, lecz ostatecznie musiał ustąpić stanowczemu życzeniu matki, która prócz tego salonową lampę przysłoniła zieloną umbrellką. Nie pozwoliła również na zdjęcie opaski z chorego oka.

Nareszcie upragnieni goście przybyli. Powitanie było wzruszające.

Stary szlachcic prawie pędem podbiegł do usiłującego powstać Jana i, sadzając go z powrotem na kanapie, zgięty w pół, długo w objęciach zatrzymał. Mówić nie mógł z rozrzewnienia, tylko chlipał, muskając sumiastym wąsem pulsującą skroń chorego.

Temu zaś, z ściśniętych natłokiem uczuć ust płynęły beładnie radosne dźwięki: „dobrzy! zacni! kochani państwo!“, przeplatane szybkim, gorączkowym oddechem.

Z kolei zbliżyła się pani Eufemja, a za nią Wanda, z twarzą bladą, z siatką błękitnych żyłek pod oczyma, które patrzyły tkliwie, lecz smutnie.

Pierwsze wrażenie było dla niej nader bolesne. Widziała Olszyńskiego po wypadku kilka razy, ale nigdy nie wydawał jej się tak zmieniony, jak obecnie. Wynędzniała, zmizerowana postać, oświetlona zielonawym blaskiem lampy, zdawała się być nie z tego świata. Zarost, którego przedtem nie nosił, zapadłe policzki, czarna jedwabna opaska na czole, uczyniły

Olszyńskiego prawie niepodobnym do tego, jakim był przedtem.

Pierś Wandy zafalowała bólem. Z trudnością stłumiła łzy, wezbrane pod powieką... Rozchyliła drżące wargi, ale nim słowo zbiegło, ręka jej znalazła się przy ustach Jana.

Nie całował, tylko wpił się łakomie w tę błyskawicznie pochwyconą dłoń, niby dręczony pragnieniem wędrowiec w owoc soczysty, i trzymał tak sekund kilka bez przerwy, kładąc w ten słodki dotyk duszę całą.

Z jej źrenic polały się długo powstrzymywane łzy, co ujrawszy Bruzdowicz, który podtrzymując Jana, również łzy miał w oczach, zawołał:

— Patrzcie państwo! ona beczy...

— A brat niby nie! — odcięła w te pędy pani Eufemja, odciągając obezwładnioną wzruszeniem Wandę.

Słowa te, wypowiedziane weselszym tonem, zrobiły wyłom w dotychczasowym usposobieniu.

Pan Bruzdowicz odstrzelił „ciotce“ żartem, ta nie pozostała dłużną, pani Olszyńska dopowiedziała coś od siebie; Wala uśmiechnęła się ukradkiem i rozmowa potoczyła się swobodniej.

Zajęto miejsca wiankiem w pobliżu kanapy, posypały się urywkowe pytania i wykrzykniki, po większej części skierowane do Jana, na które ten, tłumiąc gorące w piersiach wzruszenie, starał się odpowiadać spokojnie.

Po chwili, stary szlachcic, zamieniwszy znaczące wejrzenie z panią Olszyńską i córką, przystąpił prosto z mostu do głównego celu dzisiejszej wizyty.

— Szlachetny to był czyn, kochany panie Janie! — zaczął — ale nierozważny. Można było życiem taki eksperyment przypłacić! Bóg łaskawy zachował cię na pociechę matce i ku radości nas wszystkich... Wszystkich — powtórzył z naciskiem — bo przyznać trzeba,

że prócz nas — poprawił — o sercu których chyba nie wątpiłeś nigdy, wszyscy... wszyscy co do jednego... Prawda? — zwrócił się do córki.

Wanda skinęła głową.

— Wszyscy! — szepnęła.

— Uradziliśmy przeto, — mówił dalej, nie kończąc przerwane go zdania — że musimy się coprędzej postawić na nogi. Co było można zrobić w domu, to się zrobiło; ale tu, jak sam wiesz, o specjalistów trudno, więc trzeba na dokończenie kuracji wyjechać zagranicę. Musisz być nanowo takim Jasiem, jak byłeś przedtem! — dokończył wesoło, biorąc Olszyńskiego za rękę.

Panna Bruzdowiczówna dorzuciła, przychodząc w pomoc ojcu:

— Wszakże życie i zdrowie nie zawsze tylko do nas samych należy.

Olszyński westchnął, z dziękczynieniem spojrzawszy na mówiącą. Równocześnie spotkał się z błagalnym wejrzeniem matki. Staruszka, sądząc, że zechce się opierać, zasyłała niemią prośbę.

Na chwilę zapanowało milczenie, podczas którego Jan zdawał się zbierać rozpierzchnięte myśli. Wreszcie rzekł, przechylając głowę w stronę Wandy:

— Dobrze... Zrobię wszystko, co państwo zechcecie. Rozkazujcie.

— Victorial! — wykrzyknął Bruzdowicz i kując żelazo na gorąco, jał cały projekt wyłuszczać drobniawo, powołując się niekiedy na panią Olszyńską, która, uradowana powolnością syna, potakiwała za każdym razem gorąco. Pani Eufemja ze swej strony wtrącała aprobujące wykrzykniki:

— A to się wie! Ma się rozumieć! Koniecznie trzeba!...

Panny milcząco poruszały główkami, chory zaś miał na wszystko jedną odpowiedź:

— Dobrze... dobrze... jak zechcecie.

Potem sam zaczął pytać, kiedy wyjazd nastąpić może, utrzymując, że czuje się tak silnym, że choćby jutro mógłby jechać.

Dotąd wszystko układało się dobrze. Olszyński wydawał się zupełnie zadowolony, rozruszał się, na poźółkłej twarzy zakwitł rumieniec, a zdrowe oko błysnęło ożywieniem.

Korzystając z tego, Bruzdowicz dodał:

— Myśmy tu wszystko za ciebie, bratku, obmyślili. Za parę dni skrzepisz się jeszcze lepiej i sakum pakum w drogę. Nie trzeba odwlekać. Raz, — zniżył głos — że matczyśko pocziwie uspokoi się, odetchnie, powtóre... że z oczami niema żartów...

Olszyński, pobladłszy, dotknął ręką opaski.

Bruzdowicz, zaniepokojony tym gestem, pośpieszył:

— Niebezpieczeństwa żadnego niema. Ale za zawsze... organ delikatny... Specjalisty potrzeba! specjalisty... to grunt!

I nie dając Janowi przerwać, kończył, uśmiechając się pobłaźliwie:

— Mamy wprawdzie medykament pod ręką... Ciotka z Wandzią postarały się o wodę z Lourdes... Żebyś wiedział, miałem codziennie konsultację w domu...

— Tatku! — jęła się bronić zapłonioma Wanda.

— Ale to swoją drogą, a okulista swoją. Wszystkie przygotowane... nic nie brakuje... fundusze mamy...

Na wzmiankę o funduszach, Olszyński, który właśnie uśmiechem dziękował za wodę z Lourdes, podniósł głowę i z widocznym zakłopotaniem wpatrzył się w mówiącego.

— To będzie dużo kosztowało — przemówił, przerywając.

— Co dużo! — oburzył się stary szlachcic. — Cóż to, fabryki nie stać, czy co! A to dobre! Masz kogo żałować. Tyś in tysiące uratował i zdrowiem przyplacił! Byłoby dzieciństwem, dalibóg, mieć jakie-

kolwiek skrupuły, mój Jasiu! — jął przekonywać, trzymając dłoń Jana w swych rękach. — Dzieciństwo, dalibóg! Niechże pani dobrodziejka powie! — zwrócił się do pani Olszyńskiej.

— Sami się zaofiarowali z pomocą — odezwała się staruszka — a ja... przyjąłam...

— Nie ma przeto o czym mówić. Trudno się było przecież pytać ciebie o zdanie, gdyś walczył między życiem a śmiercią. A tyś się kogo pytał? hm! Skoczyłeś w ogień na ratunek — i basta!

— Za to się nie płaci — odezwał się zwolna ale z naciskiem Olszyński.

— A któż mówi o zapłacie?! Spełniłeś ty swój obowiązek — ba! obowiązek, bohaterskie warjactwo, panie — pozwól i innym wypełnić, co do nich należy — naciskał Bruzdowicz. — Zresztą, to nie jakaś łaska — filantropja. Przytem mylisz się grubo, jeśli sądzisz, że tu oddziaływał jakiś przymus moralny... Słowo honoru, nie! Nie adoruję ja ich, ale... co sprawiedliwie, to sprawiedliwie!...

— Pan administrator osobiście składał nam dowody wielkiej życzliwości podczas twojej choroby, Jasiu! — wtrąciła teraz matka.

— Pan Horst codziennie bywał — dorzuciła Wala. A panna Wanda dodała łagodnie:

— Nie trzeba ludzi sądzić zbyt surowo.

Olszyński spojrział na nią z rozrzewnieniem. Powiódł ręką po czole, odetchnął z głębi piersi.

— Choremu wiele wybaczyć potrzeba — przemówił z odcieniem żalu.

Potem nachyloną nad nim matkę przyciągnął blisko ust swoich i rzekł z przymileniem:

— Czy im mateczka podziękowała za mnie?

Do salonu wchodził Horst Kurzbach ze Słodowskim.

— O wilku mowa! — wesoło powitał wchodzących pan Bruzdowicz.

Młody Kurzbach rzucił badawczo okiem po otoczeniu, skłonił się paniom i co prędzej podszedł do Olszyńskiego.

— Nareszcie — zaczął, ujmując rękę Jana, którą ten do uścisku wyciągnął — wolno mi jest pana zobaczyć i podziękować... Nie moja wina, że się spóźniłem... ale mama — tu wskazał na panią Olszyńską — tak broniła dostępu, że do tej pory zawsze odprawiano mię z kwitkiem... Tak... tak... Wybacz pan przeto, że teraz tak obcesowo i może nie w takiej, jakbym chciał, formie, załatwiam się z długiem wdzięczności i przyjm...

Potrząsnął trzymaną dłonią kordjalnie. Głos Kurzbacha brzmiał donośnie, pewnie, z wydatnym odcieniem serdeczności. Wygłoszone zdania płynęły z pośpiechem, znamionującym szczerą porwę lub uprzednie przygotowanie się.

Olszyński, zakłopotany, próbował przerwać kilkakrotnie, lecz nadaremnie. Wreszcie, odplacając za uścisk uściskiem, rzekł poważnie:

— Jeżeli o osobisty między nami rachunek idzie, to ja właściwie jestem pańskim dłużnikiem.

Głos mu drżał, na twarzy rozsiadło się wzruszenie. Horst wymawiał się od wszelkiej podziękacji gestem, zaś pan Bruzdowicz, na którego czułe sceny działaływały niezmiernie, siłą się na żartobliwość, przemówił do stojącego na uboczu Słodowskiego:

— Chemiku! chodźże i pan do trójki. Popłaczecie się razem. Ja tymczasem poproszę szanowną gospośnię o herbatkę.

— Waluniu! — przypomniała pani Olszyńska. Poczem obydwie zakrzętnęły się przy stole, zapraszając.

Niebawem całe towarzystwo, z wyjątkiem Jana, zasiadło do herbaty. Jan posiedział jeszcze chwilę na kanapie, ale czując się osłabiony doznaniem wrażeniami, pożegnał towarzystwo i, przeprowadzony

przez Słodowskiego, udał się do swego pokoju na spoczynek.

— Zatem interes ubity — odezwał się teraz wesoło do siedzącego obok Horsta Bruzdowicz. — Byle pogoda dopisała, za dni parę wyprawimy naszego pacjenta w świat.

— Serdecznie się cieszę — odrzekł na to Horst.

A pani Eufemja zauważyła:

— Powinien jednak ktoś choremu w drodze towarzyszyć.

— Gdyby nie zajęcie... ja sam... — przemówił młody Kurzbach.

— Możeby pan Słodowski — napomknęła doradczko Wanda, oglądając się za chemikiem, który jeszcze nie powrócił.

— Pan Stanisław! Jasiowi byłoby bardzo przyjemnie — potaknęła mileżąca dotychczas Wala.

W żrenicach Horsta zaświecił odbłysek chytrej radości. Projekt Wali był mu bardzo na rękę. Lekceważył sobie w duchu takiego, jak Słodowski, rywala, ale chociaż obecność chemika była mu konieczną w wielu razach, rzekł, rzuciwszy okiem na Walę:

— Ze swej strony zgadzam się chętnie na projekt pani, kilka dni możemy się w cukrowni obejść bez pana Słodowskiego. Najchętniej go wyręczę.

Lecz pan Bruzdowicz przeciął kwestję, ofiarowując się towarzyszyć Janowi.

— Miałem wyjechać później. Wszystko jedno, przyspieszę wyjazd. Chyba, że mnie moje panie nie puszczą.

Na te słowa, Wanda, powstawszy szybko, podbiegła do ojca i łaszcząc się jak kotka, obsypywała siwą jego głowę pocałunkami. On broniał się niby uśmiechem, powtarzając:

— Tylko żadnych sprawunków. Wymawiam sobie! Jadę w charakterze siostry miłosierdzia, nie komisjonera... Żadnych sprawunków... Widzę już z mi-

ny ciotki, że o sążnistej konotatce myśli — zazartował w końcu z pani Eufemji.

Ta zachnęła się z udanym gniewem, ale na sprzeczkę nie było czasu, bo właśnie pani Olszyńska wystąpiła z dziękczynieniem, a równocześnie ukazał się we drzwiach wracający do towarzystwa Słodowski, który, usłyszawszy o co idzie, rzekł z prostaczą otwartością:

— Jabym Janowi dodał jeszcze innego Anioła Stróża.

Panna Bruzdowiczówna spiekła raka.

Horst uśmiechnął się ironicznie, spoglądając w stronę panny Olszyńskiej.

Ta bez zastanowienia przycięła:

— Właśnie przed chwilą mówiliśmy o... Aniele Stróżu.

— Którym miał być pan — dokończył młody Kurzbach, przygryzając wargi.

Słodowski, pomiarkowawszy się, potarł czuprynę.

Wala wybuchnęła śmiechem.

— Oj dziecko! dziecko! — skarciła staruszka, robiąc Słodowskiemu miejsce przy stole.

Rozmowa potoczyła się teraz weselej. Żartowano z siebie nawzajem. Najczęściej dostawało się chemikowi, którego panny stałe „Aniołem Stróżem“ przezywały. Przyłączał się do nich niekiedy Kurzbach, rzucając dowcipne półsłówka, o ile nie musiał dotrzymać placu Bruzdowiczowi, który go na polityczną dysputę wyciągał.

Horst słuchał z roztargnieniem wywodów Bruzdowicza, potakując bezmyślnie we wszystkim, czem bezwiednie skaptował sobie serce starego szlachcica do tego stopnia, że kiedy młody Kurzbach, pożegnawszy towarzystwo wyszedł, zaczął go wychwalać.

— Szczególniejsza rzecz, jak się zupełnie odrodził od ojca! Niemca ani śladu... Złote serce, a głowa otwarta. Jak dłużej między nami pobędzie...

Pani Eufemja przerwała:

— Gdyby się tak jeszcze w okolicy ożenił.

— Bardzo dobra partja — zauważyła pani Olszyńska z przekonaniem.

Wala wypila pół szklanki herbaty duszkiem.

V.

Pan Bruzdowicz przywiózł bardzo dobre wieści. Wiedeńscy lekarze upewnili, że operacja udać się musi, a kuracja, chociaż potrwa dość długo, pomyślnym stanowczo uwieńczyona będzie skutkiem.

Jakoż w parę dni potem, jeden z uproszonych o to lekarzy nadesłał telegraficzne zawiadomienie o szczęśliwym przebiegu operacji, a następnie listowny opis szczegółów, z doniesieniem o wybornym stanie pacjenta.

Około Bożego Narodzenia odebrała pani Olszyńska pierwszy list, pisany ręką syna.

Radość była wielka.

Jan potwierdził wysyłane poprzednio wiadomości: czuł się dobrze, martwiło go jedynie, że z porady lekarzy nie może opuszczać mieszkania przed zupełnym wygojeniem nerwu ocznego, co w najlepszym razie potrwa jeszcze kilka tygodni.

Odtąd co tydzień nadchodziły podobne listy. Jan pisał do matki, do Brzostowa, do Słodowskiego, dopytując się o wszystkich i wszystko, prosząc o częste i obszerne odpowiedzi.

I szły zapisane szczerze ćwiartki codziennie prawie do kliniki wiedeńskiej.

Pani Olszyńska, pomimo tęsknoty za ukochanym synem, w każdym liście, pełnym macierzyńskich przestroóg, prosiła, aby nie przyśpieszał przedwcześnie przyjazdu, radząc przeczekać do cieplejszej pory, do

wiosny. „Mój Jasiu — kończyła zwykle uspakajająco — nie troszcz się o mnie, o Walę. Zostawiłeś nas pod dobrą opieką. Zaczny pan Bruzdowicz, Wanda, pan Stanisław, pan Horst, otaczają nas taką opieką, że niczego nam nie brakuje, chyba ciebie, mój drogi! Ale, mój Jasieczku, ja wolę czekać, czekać... byleś nam zupełnie zdrów powrócił. Gniewałabym się bardzo, gdybyś inaczej postąpił. Ja chcę tego... ja proszę o to, mój drogi...”

Nieraz jednak przy pisaniu słów takich iza szczerą padała na papier i tłumione westchnienie wydobywało się z piersi staruszki. Nieraz, po wyprawieniu listu na pocztę, padała Olszyńska na kolana, modląc się gorąco, aby jej Najwyższy prędko a szczęśliwie syna pod dach powrócił..

Pragnęła tego nietylę dla siebie samej, ile dla Wali, zauważywszy z przestraszaniem, że w trzpiotowatem, nazbyt nieraz wesołem dziewczęciu zaszła jakaś nie dająca się niczem wytłómaczyć zmiana.

Zdarzało się nieraz pani Olszyńskiej spotkać córkę, siedzącą w kąciku ze smutną zadumą na twarzy, z obliczem bezmyślnie utkwionem w punkt jeden. Na widok matki zrywała się nerwowo, brała porzuconą robotę do ręki, lub zakręciwszy się po pokoju, wybiegała, nie mówiąc słowa. Czasem znów budziła się w niej nienaturalna wesołość. Siadała do fortepianu, wygrywała najskoczniejsze polki lub walce, albo też, przypadwszy do rąk staruszki, obsypywała je gorącymi pocałunkami, szepcząc zadyszczanym głosem:

— Moja ty mateczko złota! serdeczna, jedyna! Czy ty bardzo kochasz swoją Walę?

— Skądże to pytanie, moje dziecko? Kocham... Kocham — uspakajała wtedy staruszka, przytulając złotą główkę Wali do ust drżących obawą.

Przytrafiło się to parę razy. Początkowo sądziła pani Olszyńska, że niepokój o Jana tak ujemnie oddziaływa na wrażliwą naturę Wali; po jakimś jed-

nak czasie przysłała do przekonania, że poza troską o brata, tkwić musi inna jeszcze jakaś przyczyna.

Zwierzyła się z tem przed panią Eufemją, opowiedziawszy szczegółowo swoje obawy.

Ta, wysłuchawszy, po krótkim namyśle zauważyła tonem pocieszenia:

— Moja pani! W wieku Wali... cóż dziwnego... my przechodziłyśmy to samo... Może się kim zajęła?

Olszyńskiej podobne przypuszczenie nie przyszło nigdy do głowy. Zaniepokojona, wyrzekła z powątpiewaniem:

— Ale kim? Nikt u nas prawie nie bywa...

— A pan Stanisław! pan... Słodowski — napomknęła pani Eufemja.

Z piersi Olszyńskiej wyrwało się westchnienie. Domysł był prawdopodobny. Słodowski bywał codziennie, często rozmawiał z Walą na osobności, a dla całego domu okazywał tyle szczerzej przyjaźni, że można go było rzeczywiście o „zamiary“ posądzić.

I w gruncie rzeczy niktby nie miał nic przeciw temu, a najmniej sama Olszyńska, która Słodowskiego za jego przyjaźń dla Jana pokochała, jak drugiego syna.

Nie próbowała też przeczyć, lecz z całą otwartością wyznała, „że gdyby to było prawdą, byłaby bardzo szczęśliwą...“

Poczem obiedwie panie, stoczywszy na ten temat walną naradę, postanowiły, działając z całą ostrożnością, w największej tajemnicy wysondować prawdę.

Odtąd staruszka zaczęła dawać pilniejsze baczenie na wzajemny stosunek Wali i Słodowskiego, który, zawsze jednako serdeczny, wylany, każdego wieczora po dawnemu zachodził w odwiedzin.

Często towarzyszył mu Horst Kurzbach — i wówczas bywało najweselej. Wali wracał figlarny humor, ożywiała się, dowcipkowała, podżartowując z chemika, patrzącego w jej oczy, jak w obrazek święty.

W staruszcze serce rosło. Była prawie pewną, że domysł pani Eufemji miał zupełnie słuszną podstawę.

Pewność ta wzrastała z dniem każdym.

Tymczasem w cukrowni szło pozornie wszystko zwykłym trybem. Kampanja była na ukończeniu. Plantatorzy zaczęli odnawiać kontrakty.

Zboże po Nowym Roku spadło jeszcze w cenie, ten i ów potrzebował pieniędzy, każdy przeto śpieszył do cukrowni po zaliczkę. A zaliczki wydawano teraz, stosownie do rozporządzenia administratora, w zwiększonej normie. To niejednego zachęciło. Przytem Bruzdowicz zaniechał na razie opozycji. Polubiwszy naprawdę młodego dyrektora, nie chciał mu z samego początku stawiać trudności; nadto straty, jakie fabryka poniosła wskutek wybuchu, skłoniły go poczęści do zmiany wymagań.

Nie zobowiązując się przeto do niczego na przyszłość, podpisał umowę na dawnych warunkach, zastrzegając jednak stanowczo w rozmowie z Horstem, „że na przyszły rok, da Bóg doczekać, nieodwołalnie zażąda podwyżki“.

Młody Kurzbach zobowiązał się ze swej strony dołożyć wszelkich starań, aby w niedalekiej przyszłości móc plantatorom korzystniejsze ofiarować warunki. Na początek już zwiększył procent wydawanych wytlóków i melasy, wydzielanych poprzednio skapo.

Ustępstwo to, na korzyść plantatorów uczynione, jakoteż powiększenie zaliczki na mórg zakontraktowanych buraków, usposobiło ogół interesantów dla nowego dyrektora bardzo dobrze. W rozmowach, toczonech na ten temat po okolicznych dworach, wyrósł Horst Kurzbach na człowieka dobrej woli, który odmiennym niż ojciec postępować zamierza torem. Uznanie, jakim go darzył Bruzdowicz, z czem się stary szlachcic nie taił, szlachetny postęp z Olszyńskim, układność w obejściu, zjednały mu w końcu najopor-

niejszych. Wiedzano przytem, że i w samej fabryce inaczej się teraz dzieje.

— Wziął podobno Niemców w karby — powtarzano sobie z zadowoleniem przy sposobności, co również nie mogło się nie podobać, a poczęści było prawdą.

W samej rzeczy, Horst Kurzbach mniej przestawał ze współrodakami i w stosunkach służbowych traktował ich chłodno i wyniośle.

Zdarzało się, że parę razy, narzucającemu się ze swoim zdaniem buchalterowi przyciął głośno ostrym tonem:

— Nie mieszaj się pan w nieswoje rzeczy! Nie potrzebuję doradców.

Coś podobnego spotkało również maszynmajstra Knotza i kasjera, ogół zaś dozorców karcił surowo za najmniejsze przewinienie.

Był to, nawet w pojęciu Gzyckiego, który najmniej miał obecnie utrudniony przystęp do osoby dyrektora, kurs nowy, a zupełnie niepożądany.

Współplemięcy sarkali głośno, a że wszystko musi mieć swoją przyczynę, zaczęto śledzić dyrektora, — i ostatecznie odnaleziono zrozumiały dla wszystkich powód takiej raptownej zmiany postępowania.

Intryga polska nie dawała rodakom Bismarcku spokoju nawet w dziedzinie przemysłu.

W rzeszy obrażonych zaczęły teraz krążyć najprzeróżniejsze wieści o stosunkach młodego Kurzbacha z Olszyńskimi. W kółku domowym rozprawiano otwarcie, że dyrektor kocha się w pannie Wali. Matki i córki były oburzone, zwłaszcza Knotzowa, która od czasu balu jubileuszowego niechętnem już na Olszyńskich spoglądała okiem. Doszło do tego, że przy spotkaniu zaczepiano Słodowskiego dwuznacznem pytaniem o „zdrowie panny Olszyńskiej“.

Chemik, nie podejrzewając złośliwości, odpowiedział dobrodusznie, tłumacząc sobie tę niebywałą dotąd

uprzejmość „niemiaszków“ chęcią przypodobania się Olszyńskiemu, z którymi teraz dyrektor tak dobrze żyje.

I nie raziło go to bynajmniej.

Do dworku Olszyńskich, na szczęście, nie dochodziły długo te uwłaczające wieści.

Olszyńskie, po wyjeździe Jana, żyły w większem jeszcze niż poprzednio odosobnieniu, nie bywając poza kościołem i Brzostowem nigdzie; prócz Bruzdowiczów, Słodowskiego i Horsta nie przyjmując u siebie nikogo.

Nawet z Gzyckim, który dawnymi czasy zachodził niekiedy, widywały się rzadko.

Ten zresztą nie poważyłby się na żadną aluzję.

Wielkie też było zdziwienie staruszki, gdy pewnego dnia, z samego rana, zaszła do niej z wizytą żona maszynmajstra, pani Knotzowa.

Wali natenczas nie było, gdyż Wanda, będąc poprzedniego dnia, zabrała ją do Brzostowa. Osamotniona staruszka przyjęła niespodzianego gościa, rada w duchu, że będzie mogła z kim parę słów zamienić.

Knotzowa, wygłosiwszy na wstępie kilka zdawkowych komplementów, poczęła się wypytywać o Walę, ubolewając łamaną polszczyzną, że „kochanej, drogiej, milutkiej panny Olszyńskiej“ nie zastała.

— Bo... mam nawet maleńki interesik — mówiła, przerzucając karki albumu, w którym znajdowała się duża gabinetowa fotografia młodego Kurzbacha z podpisem „przyjaciół“ — prośbę do córeczki szanownej pani.

— Jaką? — spytała staruszka, nie tając zdziwienia.

Knotzowa zakręciła się na kanapie, zmrużyła świdrujące oczy, przystroiła twarz w wyraz sztucznego zakłopotania.

Pani Olszyńska ponowiła pytanie:

— Czemże możemy służyć? Doprawdy, nie domyślam się...

— Ach, droga pani! — zaczęła teraz Knotzowa

z uśmiechem tajonej złośliwości. — Ach, droga pani! Nie wiem, od czego zacząć, niechże się pani za moją śmiałość nie pogniewa... ale istotnie... bez poparcia szanownych pań...

Przerwała znowu, badając, jakie początek przemówienia wywarł wrażenie. Olszyńska, nachylona cokolwiek, słuchała spokojnie, pogodnie spoglądając na mówiącą.

Ta, po kilku głębokich westchnieniach, dokończyła:

— Mąż mój, równie jak syn pani, zapadł na zdrowiu. Chciałabym, żeby na jaki miesiąc wyjechał odpocząć... Inni przecie po parę miesięcy siedzą... Ale dyrektor ani słyszeć nie chce o urlopie... Rzeczywiście, zajęcia jest teraz przy montowaniu nowego kotła wiele...

— Skoro Jaś wróci — z chęcią męża pani zastąpi — wtrąciła staruszka.

— O, droga pani! — wymawiała się Knotzowa — tego nie śmiałabym wymagać! Zresztą syn pani dobrodziejki zapewne czas jakiś jeszcze zabawi, a mój stary tak potrzebuje... tak potrzebuje...

— Możeby w takim razie pan Słodowski... — namomknęła Olszyńska.

— O, to już mniejsza... Roboty zaawansowane. Gdyby tylko pan dyrektor zechciał uwzględnić...

Wzięła Olszyńską za rękę.

— Pani złota, pan Kurzbach bywa u państwa codziennie. Prosiłabym o życzliwe słówko... pani... panny Wali przedewszystkiem...

Staruszka, chociaż nie domyślała się ukrytego znaczenia tej prośby, nie chciała przyrzekać, uważając, że pośrednictwo w tym wypadku byłoby poniekąd nadużyciem względów życzliwego człowieka.

Zaczęła tedy grzecznie tłumaczyć, że o sprawach fabrycznych rzadko rozmawiają z Kurzbachem; wąt-

pi przeto, czy w tym razie wstawiennictwo odniosłoby pożądaną skutek.

— Pan Kurzbach wydaje mi się w tych sprawach bardzo absolutnym, — mówiła tonem grzecznej wymówki — mógłby się obrazić. Z drugiej strony jestem przekonaną, że gdy się go o co wprost poprosi, niezwykły odmawiać.

— O, nie wszystkim! nie wszystkim — nacierała Knotzowa. — Dyrektor uprzedza się do ludzi, a do mego męża właśnie jest uprzedzony — wtrąciła z żalem. — Inaczej nie poważyłabym się trudzić szanownych pań... Ale wiem, czuję, że od tego wszystko zależy. Jestem pewna, powtarzam, że jedno słowo drogiej panny Wali...

Spojrzała znacząco i dokończyła:

— Piękne oczy wiele mogą!

Słowa te były nawet dla dobrodusznego umysłu Olszyńskiej zgrzytem, którego nie mogła nie pojąć. Jakoż chmura niesmaku i odczutej obrazę powlokła spokojną dotychczas twarz staruszki.

Powstała i rzekła zimno:

— Mylnie panią o naszych stosunkach z dyrektorem poinformowano. Ani ja, ani moja córka — dodała znaciskiem — nie umiemy w ten sposób skarbić sobie niczych względów.

— Ależ droga pani! — przerwała Knotzowa, zrobiwszy przerażoną minę. — Jak dzieci kocham, nie myślałam nic złego... któżby śmiał przypuszczać! Tak mi się samo z ust wyrwało... O, droga pani!

Wyrzuciła cały potok wykrzykników. Ale staruszka zimniej odparła:

— Nie mówmy więcej o tem.

I, nie zważając na siedzącego uporczywie na kanapie gościa, zaczęła uprzątać pokój, przedstawiając machinalnie różne graciki z komody na stół, ze stołu na komodę.

Wysilała się na chłodny spokój, choć w sercu miała gorzyc i ból.

Knotzowa, po chwilowym milczeniu, ponowiła ekskuzę, poczem z całą unізonością pożegnawszy hamującą z trudem rozszalaenie Olszyńską, wyszła.

Strzał był celny.

Po odejściu Knotzowej padła Olszyńska na kanapę. Ból szarpiący wypełnił pierś staruszki, nieuchwytny przestrach zawładnął sercem. Usiłowała skupić, przesuwołące się błyskawicą, złowrogie myśli. Zjadliwe słowa otwierały przed nią całą otchłań gorzkich, wstrząsających przypuszczeń...

Broniła im się rozpaczliwie całą głębią macierzyńskiej ufności, a jednak w miarę, jak sobie uprzytomniała każdą chwilę obecności młodego Kurzbacha, nie mogła oprzeć się bezwiednemu przygnębieniu. Było coś, czego dawniej nie dostrzegła, co w poczciwości swej inaczej tłumaczyła, a ludzie inaczej pojęli.

Nie wątpiła, że to tylko pozory, że w gruncie rzeczy nic złego stać się nie mogło, lecz i te powierzchowne oznaki zatrwożyły stroskaną matkę niezmiernie.

Długi czas przesiedziała w zamyśleniu, rosząc pomarszczoną twarz łzami, wreszcie doznała niejakiej ulgi. Groźne widmo zakazanego owocu zaczęło stopniowo maleć, podejrzenia słabnąć, a na ich miejsce występował tylko potężny żal do ludzi, co się na dobrą sławę jej dziecka targnąć śmieli.

— Dla złych wszystko złem — myślała, przypomniawszy sobie, że pierwszy Słodowski, którego uczucia nie pozostawiały żadnej wątpliwości, były to „coś“ zauważył — Wala trzpiot, to prawda... ale Stanisław... tacy przeczuwają zwykle... Nie! nie! to być nie może! Czego to ludzie nie wymyślą...

Uspokoiła się znacznie; mimo to jednak na dnie duszy pozostać musiała jakaś gryząca wątpliwość, gdyż kiedy Wala, wróciwszy wieczorem z Brzostowa,

zaczęła według zwyczaju trzpiotać, staruszka napominała z powagą:

— Moje dziecko, trzeba więcej zważać na siebie. Mógłby ktoś za złe mieć zbytnią wesołość. Ludzie ludźmi! sądzą powierzchownie, nie patrząc głębiej...

Twarz Wali w jednej chwili oblał rumieniec. Przysunęła się trwożliwie do matki, słiczne oczy zamgliły się żalem. Staruszka pogładziła jej włosy, powtarzając:

— Trzeba być uważniejszą. Bywa u nas pan Słodowski... człowiek cichy, zacny bardzo... bardzo... Mogłoby mu się to niepodoobać...

Wala wydeła wargi, spłoszony tonem przemówienia matki figlarny uśmiech prześlizgnął się znów po zarumienionej twarzyczce. Malinowe usta szepnęły:

— Pan Słodowski? A cóż panu Słodowskiemu do mnie... mateczko?

Staruszka pogroziła żartobliwie.

— Alboż nie widzisz, dzieciaku, że on na serio myśli...

Pierś Wali zafalowała silniej przyspieszonym oddechem, a z ust wybiegły słowa:

— Niech sobie myśli! niech sobie myśli!

Przesunęła ręką po czole i pierzchła jak fryga do drugiego pokoju.

Teraz w przekonaniu pani Olszyńskiej nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Wala zajęta jest Słodowskim.

To wstydliwie wyrzeczone: „niech sobie myśli“, ten rumieniec i ucieczka na samą wzmiankę o chemiku, były dla staruszki jasnym dowodem, że domysły pani Eufemji i jej własne spostrzeżenia nie są dalekiemi od prawdy.

Zastanawiając się, przypomniwała sobie, że i ona niegdyś, kiedy nieboszczyk ojciec Jana starał się o jej rękę, na sam dźwięk drogiego imienia pierzchała

onieśmielona, kryjąc wzruszającą radość przed okiem najbliższych. A i to sobie przypominała, że ta właśnie nieśmiałość była powodem, że ją posadzano o skłonność do innego młodego człowieka, dla którego przecież nic, prócz życzliwej przyjaźni, nie miała.

Własne wspomnienia utuliły do reszty wszelki niepokój, wobec czego uważała za stosowne zataić zupełnie przed córką bytność Knotzowej.

Poco bez celu martwić biedne dziecko złośliwą plotką? Udzielone ostrzeżenie wydało się staruszce narazie wystarczającym. W przyszłości, dla zapobieżenia jakimkolwiek niewczesnym przypuszczeniom, postara się, aby podczas wizyt dyrektora nie zostawiać Wali samej, a potem... potem... niechno tylko Jaś wróci, to się i wszystko skończy. Powie mu się całą prawdę, Jaś wybada Słodowskiego i...

Tą myślą żyła, a oswoiła się z nią do tego stopnia, że czasem wydawało się jej, że to wszystko już było, minęło, tylko ona z wielkiej radości zapomniała i po dawnemu oczekuje jeszcze.

I tak upływał dzień za dniem.

VI.

Wiosna wracała wcześniej niż zwykle. Już na Wielkanoc zazieleniły się pęki wierzby, wystrzeliły po miedzach kępki pierwiosnków i macierzanki; w ogródku Olszyńskich gałązki wisien okryły różowobiałe pąki, a razem z powracającym ciepłem nadzedł list od Jana, że najdalej za dwa tygodnie powita ukochanych.

Pani Olszyńska liczyła godziny, minuty prawie, dzieląc się z każdym radosną wiadomością:

— Już... już... Jaś powraca!

Wszyscy też oczekiwali tej chwili z niekłamanym pragnieniem. Wieczorne pogawędki w dworku Olszyńskich dźwięczały teraz ustawicznie: Jasiem, panem Janem, naszym kochanym pacjentem!

Przygotowywano uroczyste przyjęcie. Słodowski miał wyjechać na spotkanie, a pan Bruzdowicz *in gratiam* powrotu wyprawił przyjacielską fetę.

— Co się odwlecze, to nie uciecze — zapowiedział — mieliśmy się zabawić przed tym nieszczęśliwym wypadkiem, powetujemy to sobie teraz.

A pani Eufemja, która myśl wyswatania Wali za Słodowskiego wzięwszy do serca, przy każdej sposobności występowała z matrymonjalnym projektem, parę razy szepnęła na ucho Olszyńskiej:

— Dobrzeby było, żeby się tak przed przyjazdem pana Jana oświadczył. Byłaby to prawdziwa niespodzianka. A nic tak nie krzepi, jak dobra wiadomość...

— Moja pani! — odpowiadała staruszka, z pobożnym westchnieniem wznosząc oczy ku górze. — Moja pani, dałby Bóg, dałby Bóg! Ale ja nie chcę żadnego nacisku wywierać... Niech się samo ułoży...

Ale nie było w tem powiedzeniu prawdy zupełnej. Gorąco pragnąc tego związku, pani Olszyńska starała się, ułatwiając zbliżenie, dopomagać, aby „się to jakoś i jak najprędzej ułożyło“.

Coraz więcej dla Słodowskiego serdeczna, traktowała go z wylaną poufałością, nieomal już jak członka rodziny, dla którego nie ma się żadnych tajemnic. Naumyślnie też, ilekroć zachodził, zostawiała go sam na sam z Walą, oddalając się pod jakimkolwiek pretekstem z pokoju. Wyszedłszy, z bijącym sercem oczekiwała, rychło-li za nią wbiegnie zapłoniona Wała, z okrzykiem:

— Matuchno! jaka ja szczęśliwa! już... już...!

Ani na chwilę nie wątpiła, że to kiedyś nastąpić musi.

— Wyraźnie mają się ku sobie — rozmyślała nieraz. — Tylko obojgu na śmiałości zbywa.

Czasami przystawała pod drzwiami, podsłuchując. O czym też romawiają? Podglądała przez szparę, przez dziurkę od klucza.

Ale za każdym razem spotykał staruszkę zawód.

Siadywali w pewnem oddaleniu od siebie. Wala machinalnie liczyła „oczka“ szydełkowej roboty; chemik, uśmiechnięty słodko, przytykał w palce lub gładził jeżowatą czuprynę, rzucając niekiedy półsłówka, na które otrzymywał zwykle obojętną odpowiedź.

Gniewało to staruszkę.

— Siedzą, jak trusie! Do czego to podobne!

I chrząknawszy na ostrzeżenie, wchodziła, niby z ciekawością pytając:

— O czymże to państwo tak zawzięcie rozprawiacie?

Ale zaraz, nie mogąc się utrzymać w przybranym charakterze, dodawała z napomnieniem:

— Mogłabyś też, Walu, dać pokój robocie. Pan Słodowski chyba nie ciekawy!

Chemik zawsze pogodnie uśmiechnięty, odpowiadał bezmyślnie:

— I owszem... i owszem...

I robił miejsce staruszce, która, przysiadłszy na chwilę, znów po jakimś czasie wychodziła z pocieszającym przekonaniem:

— Może teraz...?

Sceny takie powtarzały się prawie codziennie. Codziennie też odradzały się nadzieje, tak, że w końcu pojawienie się chemika było dla staruszki zwiastunem pożądliwie wyczekiwanej chwili.

— Już dziś, już dziś napewno — myślała, obrzucając badawczem okiem nadchodzącego gościa. — Ma minę bardzo serjo...

Ręce jej drżały przy powitaniu.

A i chemikowi przy powitaniu serce nieraz zabiło młotem.

Częstokroć, kiedy z synowskim szacunkiem przykładał usta do wyciągniętych przyjaźnie rąk staruszki, kiedy uczył wejrzenie wpatrzonych w siebie oczu pocziwych, tracił równowagę, opuszczała go zwykła trzeźwość, gorączkowy poryw wypełniał pierś, I wtedy, tylko wybuchnąć! tylko do nóg się rzucić! i prosić, i żebrać, i skamlać:

— Matko! dajcie córkę... na zbawienie duszy, dajcie! Nikt jej bardziej mocno nie ukocha, zacniej nie uszanuje... matko! Pies wierniejszym nie będzie, gołąb serdeczniej nie utuli... Dajcie! bo dłużej serca nie wstrzymać! Nie odtrącajcie, matko!

Lecz zanim rozfalowana myśl zdołała objąć zrodzoną w sercu prośbę, nim słowa ukuła, przejmował go nawskroś lęk dziwny, tłumiał, odwracał na wspak rozbijałe przed chwilą chęci... Chemik zwieszał głowę i wchodził z uratowaną nadzieją, milczący, z dobrodusznie uśmiechniętem obliczem, z duszą, w której teraz bojaźń przed wielkiem szczęściem huczała głuźszącym wszystkim:

— Nie! nie! nie! Gwiazdki z nieba zachciało ci się, chłopie! a zasię! Nie tykaj, bo ci popatrzeć nie pozwolą! Nie tykaj! Zrenice ci wypatrzeć wolno, ale więcej nic! nic! nic! Spłoszysz... zamigoce... zniknie... A tobie będzie ciemno, strasznie ciemno... Ciemniej niż teraz, gorzej niż teraz... straszniej!...

Ale i taka rezygnacja rodziła się w umyśle Słodowskiego nie zawsze, jedynie w chwilach wielkiego naprężenia. Potem mijała, — i wtedy ogarniał go żal i jakaś niechęć do samego siebie.

— Głupcze jakiś koronny, Stachu! — rozmyślał po niewczasie, tłuć dłońią po szerokiemi czole. — Skończyłbyś raz i basta! Poprosisz — dadzą... A nie! to... to...

Tego, co by się potem stało, nie dopowiadał nawet w myśli, tylko krył twarz w ręce i stygł.

Mógł tak godzinami siedzieć — bez myśli, bez czucia.

Dopiero nadejście służącego budziło go z tej martwoty.

Następowała reakcja, skołatany organizm szukał wypoczynku w marzeniach lub pracy. Słodowski brał czapkę i wychodził na przechadzkę lub do fabryki, gdzie ze zdwojoną energią pracował. Przynosiło mu to doraźną ulgę, przede wszystkim stawał się znowu sobą, myślał na chłodno, przetrawiał odczute wrażenia i przychodził do przekonania, że w całej tej sprawie on jeden jest winien.

— Juźcić — myślał wtedy — nie umiem się brać do rzeczy. Korona mi z głowy nie spadnie, bo jej nie mam. Zresztą, poco ma koniecznie spadać? Bylem się tylko wygadać potrafił... W tem sęk... Tak mi coś gębę zamyka, że ani rusz! Z aniołem bym prędzej umiał... Ale trzeba... trzeba... Choćby mię nawet nie tak kochała, to co? Ja jej nawet o to nigdybym nie prosił... może z czasem... sama... Bylem się tylko mógł wygadać, wycisnąć to, czego tu... pełno, że garścią brać! na życie starczy!

I bił się w piersi tą garścią, która brać nie umiała, i z determinacją ruszał znów do dworku Olszyńskich, ucząc się po drodze słów takich: „co to... no! czyste złoto! krew serdeczna!“

Oczy mu świeciły, twarz promieniała. Umiał! Teraz na pewno powie. Co będzie, to będzie! Trzymał się ostro do... progę. Na widok Wali nauka szła w las. Słodowski bąkał o pogodzie, o burakach, o cukrze nawet. Ale „czystego złota“ nie mógł wydobyć, może dlatego, że czyste.

Pot rześisty spływał mu z czoła... nie mógł. Gdzieś mu się słowa zapodziały, dźwięki pieszczony uciekły, drżących warg nie tknąwszy, choć je łowił dy-

szącym, przyspieszonym oddechem. Skupiał poplątane myśli, doprowadzał do porządku, zdobywając się na heroiczną odwagę i już tylko zacząć...

Gdyby nie kłębek różowej włóczki, który właśnie wypadł z cudnych rączek Wali... kto wie?

Musiał przecie kłębek podnieść. Na to tyle czasu potrzeba — zapomniał. Niedobrze jest schylać się, gdy kto gorąco myśli. Krew zbiega z serca w same skronie i trochę duszno. Łatwo przytomność stracić. A nim człowiek przyjdzie do siebie...

To znów wejdzie ktoś, matka... spojrzy przenikliwie, choć czule; zagada, zażartuje, aż się znów wszystkie szyki pomieszają. Z konieczności trzeba poczekać, upatrzeć swobodną, zupełnie swobodną chwilę. Nawet lepiej poczekać, „ułożyć się“ lepiej, pójdzie gładziej. Byle tylko kto nie przeszkodził.

Czeka, istny młyn mając w głowie. Zamiast żarn — serce. Wiruje, trze pod czaszką, aż w oczach łupie! Juź... juź!

Tymczasem słyhać czyjeś kroki...

— Żeby to!... — kląć musi w duchu, tak mu nie idzie. — Znow przepadło.

Skrzypnęły drzwi. Wchodzi Horst Kurzbach. Teraz już nie!

Słodowskiemu przykro, bardzo przykro. Ale nie może przecież tego powiedzieć. Godzina dziewiąta, przyszedł o szóstej: tyle czasu zmarnował. Nie przypuszczał, że już tak długo siedzi. Kiedyindziej się pośpieszy, ale teraz trzeba dać za wygraną. Nie wypada nawet okazywać niezadowolonia. Przykro może być tylko jemu... Sam zawinił, więc sam cierpi. W dodatku Wala tak wesoła, uśmiechnięta, tak patrzy jakoś inaczej... Dziwna rzecz! Ile razy są we dwoje tylko, lub choćby z matką, nigdy się tak nie śmieje... Chciałby, żeby się tak z nim weseliła!...

Ale co tam! Śmiech nie przychodzi na zawołanie. Naprzykład, on sam teraz nie potrafiłby się na-

prawdę weselić, choć przecież ma twarz uśmiechniętą. Czemu się dziwić?! Nie będzie się dziwił. Zresztą...

— To takie proste! — rozważa. — Żebym tak umiał gadać na poczekaniu, jak Kurzbach, to czego! Jemu łatwo, w salonach wychowany, a potem... lekko... plecie trzy po trzy... A mnie... To co jabym chciał powiedzieć, toby i on wykrztusił potrafił — pociesza się.

Ale mu jakoś z każdą chwilą bardziej przykro.

Nie wie dlaczego, lecz czuje, że mu się dusza łąwi... Nie usiedzieć dłużej. Żegna się, bierze kapelusz... Chcą go zatrzymać. Pani Olszyńska zaprasza, a Horst, śmiejąc się, pyta:

— Gdzież to chemikowi tak pilno? Zostałbyś pan lepiej, poszlibyśmy razem...

Ale on zostać nie może. Nie. Gdyby tak jeszcze Wala przemówiła choć słowo... Ale gdzietam! i ona jakaś, mimo wesołości, zaniepokojona. Spuszcza oczy, ręce jej drżą... Omal nie upuściła trzymanej w rękę torebki...

Słodowski wychodzi powolnym, niezgrabnym krokiem. Przygarbił się, głowę zwiesił. Coś go gniecie ku ziemi, przyciska. Łżej mu bywało, kiedy uczniem na wakacjach w kolonji ojca, worki pszenicy do śpichrza nosił.

Ciepły wiosenny wietrzyk niesie za nim echa prowadzonej w dworku rozmowy. Rozróżnia miękki barytonowy głos dyrektora, srebrne dźwięki Wali... Pani Olszyńska także coś mówi.

Zal mu, że porzucił towarzystwo. Radby powrócił... Wstyd mu trochę.

— Kiedy ja będę do ludzi podobny? — myśli. — To śmiechu, doprawdy, warte! Wysiedziałem się tyle czasu... drugi toby... panie! Przecież raz odważyć się trzeba...

Wymachuje rękami z mocnem postanowieniem poprawy... jutro!

Czasem, w samotnych ścianach swego mieszkania zdobywa się na filozoficzny spokój.

— Sam nie dam sobie rady — rozważa wtedy — z kobietami tracę jakoś głowę. Ale niechno Jan powróci... Powiem mu otwarcie... Tak będzie najlepiej! Jan wybada matkę, Walę, a potem pójdzie wszystko jak po maśle... Oj! oj!

Na samą myśl o tem Słodowski kurczy twarz i chlipie... wąsami rusza, jakby smakował.

Patrzy różowo w przyszłość. Niepotrzebnie się tyle nagryzł, nafrasował. Wszystko pójdzie jak po maśle!

Ba dlaczegożby iść nie miało?

Jan zna go dobrze, uwierzy... Wprawdzie szlachcic, ale nie taki z pergaminu, tylko prawdziwy! Charakter! Pewnie powie pannie Wandzie, to i ta dopomoże... Bardzo zacna jest, a Wali dobrze życzy... I pan Bruzdowicz także... Oni wszyscy mu uwierzą... A Wala? Wala chyba musi wiedzieć, że ją kocha, tak... jak... jak to niebo nad głową, jak tę ziemię, po której stąpa! Z chłopów pochodzi — to prawda, ale czy to chłop serca nie ma? Złe to może dla niego, ale dla niej wszystko jedno... Będzie kochał, będzie służył... Zrobi ją tak szczęśliwą, że aż strach!

Płyną mu teraz przez rozpromienioną głowę marzenia świetlane, niby blaski słoneczne po błękitach.

— Niechno Jan wróci! — zaczyna marzyć. — Zaraz wszystko skończyć się musi. Odbędą się zaręczyny... Ma już nawet pierścionek z brylancikiem... A potem... potem...

Słodowskiemu się wydaje, że słyszy organy. Organista wyśpiewuje *Veni Creator*... na ołtarzu palą się świeczone... jasno... połyskliwie... Ksiądz robi znak krzyża świętego... Jeszcze chwilką! Jego! jego! na zawsze! po kres życia jego! Przysięgła!... ..A iż cię nie opuszczę aż do śmierci!..... Wszyscy mają łzy

w oczach, on jeden nie! Płakać, gdy w duszy takie szczęście?!...

Do nóg wszystkim padnie dziękować — ale płakać nie będzie! Szczęśliwi nie płaczą... chyba, gdy... gdy szczęście ucieknie. Jemu nie ucieknie, skoro uchwycił — utrzyma. Któżby mu je zresztą zabrał?... W orszaku sami życzliwi: stara, święta matka... matka, naprawdę już matka! szwagier... przy nim panna Wanda... pan Bruzdowicz we fraku... pani Eufemja... dyrektor Kurzbach... Tak jest, Kurzbach. Właśnie podchodzi do nich... ujmując rękę Wali, do ust przyciska. Składa życzenia!...

Rwą się marzenia. Nieuchwytny ból spłoszył je wszystkie. Słodowskiemu nagle robi się gorzko... Wodzi smutnym okiem po pustych ścianach mieszkania. Jest sam.

I znów zaczyna filozofować. Chłopski, spokojny rozmyśl bierze górę nad sercem. Podejrzeń niema żadnych. Olszyńska... i Niemiec! Prostu niepodobieństwo! Coby na to sam Jan powiedział?!...

— Zresztą — zaczyna rachować — taki Kurzbach, miljoner, choćby nawet Niemcem nie był... Nie! nie! Głupiemu powiedzieć... Wala go lubi, no! bo człowiek porządny i bardzo gładki... Lubi... ale... ale...

Tego „ale“ ująć we frazes myślowy nie chciał, tak mu się samo przypuszczenie bezcelowem wydało.

Praktyczny umysł Słodowskiego nie umiał rozdzielić myśli bez celu. Różnica, zachodząca między siostrą oficjalistą, ubogą Polką, a bogatym zwierzchnikiem, Niemcem, była dla chemika czemś zupełnie wykluczającym jakiegokolwiek zbliżenie.

Jakoż ile razy chwilowy podszept zmusił go do przykrych dociekań, oburzał się na samego siebie:

— Sensu niema! On co innego, ona co innego! Ani im to w głowie powstało... Lubią się i koniec! Co mi to szkodzi!...

I pod tym względem proste chłopskie wyrachowanie uspakajało go najzupełniej. A przecucie? — to nastrojał zwykle tak słodko, że nie szeptało mu nigdy równocześnie o nieraz snutyh o jego osobie myślach Wali:

— Co mi to szkodzi! Naprawdę lubię tego chemika... taki śmieszny...

Wiedziała, że się w niej kocha. Pochlebiało jej to nawet. Z pustotą rozpieszczonego dziecka bawiła się prostaczym zachwytem Słodowskiego, nie zdając sobie dokładnej sprawy z takiego postępowania. Sama nie czuła dlań nic, prócz życzliwej przyjaźni. Ale cóż z tego? W tylu pannach przecie kochają się różni, a tylko jeden...? Czy ona temu winna, że tym jednym nie będzie, nie może być Słodowski? Zresztą, nie ośmielała go niczem. Przychodził, przesiadywał, godzinami wpatrywał się w nią... Trudno zabronić komu patrzeć na siebie! Niegrzecznie nawet byłoby gniewać się o to, zwłaszcza, gdy się kogo lubi. A Wala chemika lubi, naprawdę lubi... Taki śmieszny!

Siaduje na krawędzi krzesła, przytka w palce, gładzi jeżowatą czuprynę i nie prawie nie mówi... Śmieszny, doprawdy śmieszny!

Czasem jednak przejmuje pierś dziewczęcia lek trwożliwy... Słodowskiemu oczy świecą tak dziwnie, usta drgają, przyspieszony oddech aż o jej twarz uderza, choć chemik siedzi przynajmniej w oddaleniu pięciu kroków... A gdyby się tak przypadkiem oświadczył?

Ale nie! nie! On tego nie robi... nie będzie śmiał! Przytem on taki dobry... On powinien wiedzieć, że jej byłoby niezmiernie przykro, gdyby... gdyby...

Musiałyby mu wtedy prawdę powiedzieć, zmartwić... bo z pewnością zmartwiłby się bardzo. I ona żalowałaby go może troszkę... Był dla niej zawsze dobrym, nawet walca na jej życzenie tańczył! Pamięta „tego“ walca... Chemik nie może wpaść w takt...

potrąca drugich... pada... Potem podchodzi Horst i tańczy z nią... Ach! jak tańczy!... Potem... straszny wypadek... Jaś...

Oczy Wali zachodzą łzami

Naprawdę byłoby jej żal, gdyby się kiedy oświadczył...

W rozmarzonej wyobraźni widzi kłęczącego u swych nóg chemika... Drży cała... Słyszy słowo: miłość!... Nie! nie! ona go nigdy pokochać nie może.. nie będzie kłamała... Przykro jej, lecz nie może... Niech zapomni! niech wybaczy!

I z pewnością wybaczy! On taki dobry! taki poczciwy!

Lepiej jednak, żeby się nie oświadczał.

Wala lęka się tej chwili. Podwójnie lęka... Słodowski zmartwiony... jej bardzo przykro... matka... Jaś!...

— Nie chcę! nie chcę! Niech tak wszystko zostanie jak jest — do czasu...

Potem wszyscy będą wiedzieli, dlaczego... nie mogła chcieć inaczej! a pierwszy Słodowski... I przebaczy... On taki dobry! Wszyscy jej przebaczą i cieszyć się będą wielkiem, niespodziewanem, jaśniejszem od słońca szczęściem...

Będą zdumieni, ale radować się będą!... Przecież sam pan Bruzdowicz mówił, że „dobrzeby było, żeby się tak gdzie w okolicy ożenił!...“ Sama mama przytwardziła, że to „bardzo dobra partja!“ Pewnie, że dobra i... strasznie kochana partja!

Mamie będzie może troszkę... z początku... nijako... Bardzo lubi chemika i Jaś go lubi, ale przecież Horst Jasiowi życie uratował... Zresztą dla chemika będą oboje bardzo dobrzy... Będzie u nich codziennie bywał, jak teraz bywa... będzie patrzył... Horst nie powinien być o to zazdrosnym! Wie, że jego jednego kochała i kochać będzie bez końca... jego jednego! A i on żadnej innej nigdy nie kochał...

Powiedział jej o tem mało sto razy... A za każdym razem słodziej, milej... Z początku bał się troszkę... Pamięta...

Było to w Brzostowie.

Wandzia grała na fortepianie. Pan Bruzdowicz rozmawiał z mamą i panią Eufemją, oni we dwoje chodzili po pokoju, bo Słodowski jeszcze nie nadjechał. Brzękły dzwonki. „Pan Słodowski — odezwał się Horst — chciałbym czasem być panem Słodowskim“. „Dlaczego?“ — spytała. „Bo mógłbym z panią mówić o...“ — Urwał. „O czym?“ „Boję się powiedzieć“ — odrzekł.

Nie pamięta, co mu na to odpowiedziała. Potem już się nie bał, tylko mówił... Ona nie mogła nie słuchać, nie mogła mu nakazać milczenia, nie mogła płacić złem za dobre... boby umarła!

I dobrze zrobiła. Teraz wszyscy będą szczęśliwi! Niepotrzebnie też zalekła się tak bardzo, kiedy mama napomknęła, „że się to Słodowskiemu może niepodobac...“

Choćby...

Może tylko niedobrze postąpiła, nie odkrywszy przed matką całej prawdy? Może...

Ale wtedy sama jeszcze lękała się wierzyć we własne szczęście. Lękała się spłoszyć przedwczesnem wyznaniem...

Horst upominał, że musi najpierw swoją rodzinę przygotować. Ojca... braci... Kochany! on wszystko przewidział, a niczego przed nią nie zataił. Mówił, że się spodziewa wielkich trudności, lecz byle mu zawierzyła, przełamie wszystkie! Mój Boże! miałaby mu nie wierzyć! Wierzy, będzie milczeć, będzie czekać, aż... aż...

Zresztą niedługo już tego czekania.

Wczoraj po odejściu Słodowskiego wcisnął jej bilecik w rękę. Przeczytała przy nocnej lampce, gdy ma-

ma usnęła. „Przed przyjazdem Jasia wszystko się rozstrzygnie“ — tak pisał, kończąc tysiącem całusów.

A Jaś już wraca za tydzień najdalej! Jak to dobrze, że wraca... kochany! najdroższy Jaś!

Szkoda tylko, że nie napisał nic więcej. Ma jej osobiście, ustnie powiedzieć. Byle tylko ten szkaradny Słodowski nie przeszkodził. Wysiada je tak długo. Najlepiej byłoby go gdzie choć na jeden dzień wyprawić... Prawda! ma jechać na spotkanie Jasia... To bardzo poczciwie z jego strony. Jaś nikogo tak bardzo nie lubi, jak chemika...

Będzie im swobodniej. Może wyjdą z Horstem na spacer? Czas piękny, ciepło. Hjacynty już zakwitły, fijołki również. Ogromnie lubi fijołki. Bukiet, który dostała na owym balu od Horsta, był także z fijołków. Zasuszyła go na pamiątkę. Kiedyś... kiedyś pokaże mu bukiet i... listy, pisane na małym różowym kwadraciku, odczyta... Dopieroż się naśmieją oboje!

I na myśl o tem rozchylały się wdzięcznie karminowe wargi dziewczyny, błogi uśmiech okrażał fijołkowe źrenice. Biegnie do zwierciadła i składając niski ukłon, szepce żartobliwie, zmieniając głos:

— Moje uszanowanie pani Kurzbachowej. Czy mąż w domu?

— Wyszedł do fabryki...

— Trzeba go skarcić. Zaniedbuje się. Przy drugim śniadaniu nie pocałował żoneczki...

I marszczy brewki, jakby wszystko już rzeczywistością było.

Czasami jednak, zwłaszcza jeżeli Horst opóźnił wizytę, wstępował w pierś Wali jakiś smutek, ciężki, gorzki, gryzący... Ogarniało ją wtedy znieczulenie, pół-sen bolesny, z którego budził ją dopiero głos miękki, dzwięczny:

— Dobry wieczór!

Wówczas przecierała piąstką zamglone źrenice, jakby istotnie przed chwilą we śnie była pogrążona

i, rumieniąc się jak wiśnia, odpowiadała szybko tonem serdecznej wymówki:

— Przestraszyłeś mnie *pan...* Nie spodziewałam się już *pana...*

Pan uśmiechał się pod wąsem, brał wysuniętą ku sobie rączkę i długo trzymając w swej dłoni, szeptał:

— *Pan...* *pan...* Tyle razy prosiłem... błagałem, *Walu* najdroższa! Wszakże nikogo niema...

I dwie pary błyszczących oczu obiegają równocześnie wejrzeniem pokój dla sprawdzenia, czy istotnie „nikogo niema“. Tym „nikim“ mógł być Słodowski, matka, służąca wreszcie...

Niema...

Teraz dwie pary oczu świecą jeszcze żywiej, usta spotykają się w przelocie... *Pana* już niema, jest tylko: najdroższy! najukochańszy! mój! mój!

Ach! Nadchodzi mama. Z nią razem wraca *pan...* Siada skromnie z obojętnym wyrazem twarzy i ze światową układnością rozpoczyna salonową pogawędkę z *panią Walą*, która również zna się teraz na towarzyskiej etykiecie. Sznuruje usteczka, odpowiada półgłosem, spuszcza oczki lub spogląda na matkę pytająco, zanim odpowie. Niekiedy popłaczą się jej słowa, niekiedy znów powie coś bez związku.

Bo trudno, bardzo trudno czuć co innego, a mówić inaczej.

Pani Olszyńska sama to rozumie i, uśmiechając się pobłażliwie, myśli:

— Ze Słodowskim jest o wiele śmielsza. Nic dziwnego: mają się ku sobie.

I ogląda się na drzwi, rychło-li chemik przyjdzie.

— Coś pana Stanisława nie widać? — zaczyna.

— A nie widać — potakuje od niechcienia dyrektor, a w duchu dodaje:

— Nie martwiłbym się, żeby zupełnie nie przyszedł.

Kiedy zaś Słodowski nadchodził lub przesiady-

Chcąc stanąć na czas, należało wyjechać na spotkanie zaraz po północy, zwłaszcza, że koniom trzeba było parę godzin wytchnąć.

Słodowski z głową pełną dyspozycji i przestróg, z zawiniętym w starą gazetę kaftanikiem flanelowym roboty pani Eufemji, w który miał Olszyńskiego zaraz po opuszczeniu wagonu przystroić na drogę, wrócił z dworku Olszyńskich do siebie wcześniej niż zwykle.

Wypędzono go prawie gwałtem, aby nieco przed podróżą wypoczął. Rad nierad musiał być posłuszny, choć żał mu było miłego towarzystwa, tembardziej, że wszyscy, ożywieni rychłem ujrzeniem dawno niewidzianego Jana, w wyśmienitym byli humorze. Pan Bruzdowicz, który z „kobietami“ w celu wyprawienia „niańki“ przybył, dowcipkował jak na popis, przekomarzając się to z córką, to z panią Olszyńską, to wreszcie z „niańką“ — Słodowskim, bo taki dla chemika przydomek obmyślił. On też najbardziej nacierał, aby się „niańka przespała“.

— Spać! spać! — przypominał co chwila.—*Punktum* dwunasta wyjechać trzeba. Droga kiepska, o wypadek nietrudno... Gotów-eś się zdrzemnąć z powrotem i dzieciaka uchynać! Miałbyś się z pyszna! Pierwsza mama skwitowałaby cię z przyjaźni i fora ze dwóra! A może i ktoś więcej — dodał, spoglądając na córkę, która rumieniąc się, dodawała również:

— Wyobrażam sobie, z jaką to niecierpliwością pan Jan będzie wyczekiwał na konie z fabryki.

— Ach, żeby to już! — cieszyła się Wala.

A Horst wtrącał poważnie:

— To od pana Słodowskiego zależy. Konie już zadysponowane.

W kółko jedno i jedno, nalegania i nalegania, że Słodowskiemu przykro nawet nieco było, że się go tak coprędzej pozbyć pragną. Ale wytłumaczył to sobie wielką niecierpliwością i nie opierając się dłużej, pożegnał towarzystwo, żegnany wzajemnie serdecznie:

— Do widzenia!

Niebawem po odejściu chemika wyjechali goście brzostowscy, pozostał tylko Kurzbach. Ale i ten, siedziawszy chwilkę, zabierał się do wyjścia. Parę razy rozpoczął pożegnanie i nie kończył. Pani Olszyńska, jak na złość, dosiadywała.

Wreszcie, złożywszy niski ukłon, wziął za kapełusz i wyszedł, po chwili jednak wrócił po zapomnianą papierośnicę.

— Przepraszam — rzekł na wstępie, drzwi uchyliwszy — zapomniałem...

Staruszki już w saloniku nie było. Postąpił kilka kroków.

— Zapomniałem papierośnicy—dokończył i szybkim ruchem zbliżył się do stolika, przy którym stała Wala.

Na twarzy dziewczęcia odmalował się błyskawicznie przestрах. Machinalnie cofnęła się w tył. Nachylił się ku niej i zdyszany głosem szepnął:

— Wala! czekam! Królowo moja! nie bój się... Zawierz! Żywa dusza nie ujrzy... prosto ścieżką do altany... Królowo moja! Czekam! Inaczej...

Ukazał na kieszeń surduta, z której sterczała błyszcząca lufa rewolweru.

Poczem, nie czekając odpowiedzi, pochwycił leżącą na stole papierośnicę i wybiegł na palcach.

Marmurowo blada Wala zatoczyła się i padła na najbliższe krzesło. Łzy cisnęły się jej do oczu, a płakać nie mogła.

Kiedy przed udaniem się do panińskiego pokoi-ku przysła matce powiedzieć dobranoc, drżała.

— Coś ty taka bledziutka? moje dziecko! — spytała staruszka, gładząc rozpalone czoło córki.

— Trochę mię głowa boli. Ci nieznośni panowie pał tak dużo...

— Otwórz cokolwiek lufcik. Niech najdzie świeżego powietrza.

— Dobrze, matuchno, dobrze... otworzę...

Przygarnęła się do piersi matczynych, przytuliła długo, silnie...

Po chwili, klęcząc przy łóżku, biła się w piersi i modliła gorąco, bardzo gorąco...

Słodowski, kazawszy się nocnemu stróżowi obudzić, rzucił się w ubraniu na kanapę. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Myśl, że z chwilą powrotu Jana spełnić się mogą jego najśrodsze marzenia, spędzała mu sen z powiek.

— Trzeba było posiedzieć dłużej u Olszyńskich—myślał z niejakim żalem, przyciskając głowę do sa-fianowej poduszki.

Stary, srebrny, ze szkół jeszcze, zegarek cykał powolnie płynące minuty, księżycowe światło snuło się migotliwymi pasmami po ścianach kawalerskiego mieszkanka.

Słodowski przymykał i otwierał oczy. Męczył się tak czas pewien, zmuszając się do snu, wreszcie rozebrały go marzenia — zasnął.

Obudziło go pukanie w okno i głos nocnego stróża:

— Proszę pana, już czas... konie gotowe.

Ocknął. Począł się szybko ubierać do drogi. Po chwili czterokonny powóz dudnił po gościńcu, wiodącym do granicy.

Noc była jasna, prawdziwie wiosenna. Ziemia perliła się rosą, błyszczały skiby świeżo pod jary siew zaoranej roli, ciepły wietrzyk szemrał w rozpękających gałązkach drzew przydrożnych, z których długi cień kładł się pomostem, niby ciemna, poruszająca się plama na świetlejsze tło pobliskich pól i łąk. Na niebie nie było jednej chmurki, tylko lśniąca, sina, jednolita opona przybita złotymi gwoździami gwiazd do pełnego podniosłej ciszy firmamentu.

Ciszę przerywał tylko jednostajny turkot kół lub plusk bryzgającej niekiedy z pod kopyt końskich kałuży.

Słodowski, zagłębiany w powozie, patrzył przed siebie i marzył...

Na szerokiej drodze widno było jak na dłoni. Powóz toczył się szparko, czwórka kłusowała, parszkając.

Nagle z boku dało się słyszeć wołanie:

— Hop hop! hop hop!

Stangret zatrzymał konie.

— Co tam takiego? — spytał Słodowski, wychylając się z powozu.

— Ktoś leci polem... Widzi mi się, że posłaniec z telegrafu, bo ma blachę na czapce... Poznał po koniach... i... krzyczy... Pewnikiem co do fabryki...

Jakoż po chwili nadbiegł zadyszany posłaniec.

— A to trzeba trafu — zaczął, kłaniając się Słodowskiemu — bo ja właśnie do wielmożnego pana z depeszą... Kazali lecieć co tchu, bo pilne... Mało brakowało... byłbym się rozminął!

Podał depeszę. Słodowski gorączkowo pochwycił papier i rzucił okiem na podpis:

— Od Jana.

Czytał: „Uczestniczę w zjeździe cukrowarów w Pradze, przyjadę dwa dni później. Jan.“

Poszukał drobnych pieniędzy i dając posłańcowi za fatygę, rzekł:

— Mało brakowało, a bylibyśmy się rozminęli w drodze... Zawracaj! nie pojedziemy — rzekł do stangreta — pan Olszyński nie przyjedzie.

Stangret spełnił rozkaz. Powóz zatoczył półkole. Stojący z odkrytą głową posłaniec zbliżył się teraz szybko i podsunawszy się do pojazdu, skłonił się kilkakrotnie czapką do ziemi.

— A czego chcecie? może pokwitowania? To będzie trudno. Innym razem pokwituję — odezwał się Słodowski.

— Juścić, zdałoby się, wielmożny panie, ale...
Pocałował chemika w rękę, wzdychając ciężko.
Odbrzask nocny padł na twarz starą, znękaną.
Śłodowski obrzucił go bystrem wejrzeniem. Poślaniec
wydał mu się znajomym.

— Ja was skądś znam — zaczął.

— Toć tyle lat robiło się we fabryce...

— Aha! przypominam sobie...

— Toć to Maciej Smak, wielmożny panie — na-
pomknął stangret, zatrzymując konie.

— Maciej Smak z kotłowni?

— Ten sam, wielmożny panie — potaknął stary
z westchnieniem, kłaniając się raz po raz.

— I cóż teraz porabiacie? — pytał chemik, do-
rozumiewając się, że stary chce go widocznie o coś
prosić.

— W telegrafii na posyłkach, wielmożny panie...
Wypędzili z fabryki... nie było się czego chwycić...
Bieda, wielmożny panie, bo gdzie to staremu z takiej
lataniny wyżyć...

— Pracowaliście dawniej na kotłach?

— *Szpaizerem* się było, ale...

Śłodowski przypomniał sobie teraz całe wydarze-
nie i przyczynę wydalenia Smaka. Żał mu się zrobiło
starego.

— Chcielibyście może powrócić? — spytał.

— Ojoj! wielmożny panie! Ale to już na nic.

— Dlaczego?

Staremu łyż zaświeciły w oczach.

— Na nie! wielmożny panie, na nie! — powtó-
rzył, trąc łysą czaszkę. — Tam na kotły za nie!

Poblądle oblicze, lękliwe wykrzykniki byłego pa-
lacza zaciekawiły Śłodowskiego, więc znów spytał:

— Dlaczego? — a przypuszczając, że eksplozja
mogła napędzić staremu takiego strachu, dodał:

— Może wam strach, Macieju? Wstydzilibyście
się... że tam raz był wypadek... to co? Śmierć i na pro-

stej drodze znaleźć można. Zresztą jestem pewien, że
za waszego *szpaizerstwa* nie byłoby przyszło do tego.

Stary raptownie cofnął się w tył. Zaczął miąć
trzymaną w ręku czapkę, aż daszek trzeszczał.

— Nakrycie głowę — rozkazał Śłodowski.

Smak, nie spełniając polecenia, zbliżył się znów
i zdławionym głosem szepnął:

— Wielmożny panie! niech wielmożny pan po-
zwoli na stronę... ja coś powiem... Ksiądz nakazał...
muszę... — mówił nachylony do kolan chemika, trzę-
sąc się, jak liść przydrożnej osiki.

Śłodowskiemu dziwną wydała się ta niespodzie-
wana prośba. Skupił myśl. Nagle zamajaczyło mu
w głowie przeczuciem, że zwierzenia Smaka mogą
mieć związek ze strasznym wybuchem w kotłowni.

Wyskoczył z powozu i, rozkazawszy stangretowi
jechać stępą, gdy pojazd oddalił się dostatecznie, rzekł:

— Teraz mówcie, nikt nie usłyszy. Co będę mógł,
zrobię dla was.

Stary już leżał mu u nóg i rychotał:

— To ja! to ja... wielmożny panie! grzeszny czło-
wiek... Niemce skrzywdzili... podkusiło mnie do pom-
sty... To ja... O mało-m nie oszalał! jak się to zło stało...
Chciałem kilka razy wszystko wyznać... zachodziłem
do pana Olszyńskiego... chorzał... Wielmożny panie,
ja nikaj spokoju znaleźć nie mogę... U świętej spowie-
dzi byłem... Ksiądz kazał wielmożnych panów przebła-
gać... Chodziłem, alem nie śmiał, bojaźń mnie oble-
ciała... Kryminał! O nieszczęśliwa godzina! na stare
lata!...

Trząsł się, do nóg padał, szlochał, jęczał.

Śłodowski z pierwszych słów wyznania zaczynał
odgadywać, że ma przed sobą sprawcę wybuchu.
W pamięci przesunął mu się żywo obraz nieszczęsnej
chwili, ów huk straszny, trzask, bohaterstwo Jana,
własne niebezpieczeństwo. Wzdrygnął się. W pierw-
szej chwili gniewny wstręt zatamował dostęp litości.

Jakoż z niechęcią próbował wysunąć się z objęć, czepiającego się jego kolan, chłopca.

Ten poczołgał za nim, łkając:

— Wielmożny panie! ja sam nie wiedział, co robię. Kusiło mnie, kusiło... aż skusiło... Dzieciska głodem przymierały... Kobieta chorzała... a ja stary nie mogłem sobie dać nijakiej rady! któż takiego dziada weźmie do roboty? I taki mnie zdjął żal do tych... że mi tchu nie stało! Poszedłem jednej nocy... Zakradłem się przez park... nikt nie widział... Odkręciłem tylny wentyl... Oj! żebym był wiedział, że wielmożni panowie tam poleca, byłbym może szczezł, a zemsty zaniechał... Okujcie, wielmożny panie, te stare ręce, ale darujcie, bobym śmierci spokojnej nie znalazł!

Pierwsze oburzenie przemijało. Słodowski miękł, uczuwał litość dla pobudek tej zemsty. Spojrzał łagodnie.

— Widzisz, człowieku, do czego to mściwość prowadzi — odezwał się, podnosząc Smaka.

— Toć mnie jak ptaka z gniazda wypędzili!... Siły stargałem... zdrowie... Wszystko przez nich! przez nich! — zawodził stary.

— Nie chrześcijańska rzecz mścić się. Gdyby Maciej mnie lub pana Olszyńskiego poprosił, przyjęłoby go z powrotem do fabryki... Cóż wam ze złego uczynku przyszło? Niewinni ludzie ucierpieli...

Chłopu łzy płynęły ciurkiem.

— Grzech, mój Macieju, grzech — mówił w dalszym ciągu Słodowski. — Sumienie was ruszyło, to i dobrze. Stary jesteś... nad grobem... Trzeba złe wynagrodzić... Przeciw panu Olszyńskiemu najwięcej...

— Nie chciałem, wielmożny panie! Oj, żebym był wiedział... żebym był wiedział...

Znów objął nogi chemika.

— Pan Olszyński wraca. Przyjdźcie za trzy dni do fabryki. Przepróście...

— A wielmożny pan! wielmożny pan?

— Ja wam już odpuściłem wasz postępek. Żal mi was, Macieju...

Chłop zarychotał silniej.

— Biednaż moja dola! nieszczęśliwa! Poco mnie było krzywdzić! poco?!...

Słodowskiego rozebrało współczucie.

— Dajcie pokój skargom, Macieju — przemówił życzliwie łagodnym tonem. — Zróbcie, jak mówiłem. Zło odrobić trzeba. Wróci pan Olszyński... co będzie można zrobimy, żebyście się na stare lata nie tułali...

Co rzekłszy, wy dobył jeszcze kilka srebrniaków i wetknął je staremu. Poczem, nie zwlekając, podążył szybko ku pojazdowi, który się znacznie oddalił, wołając na furmana, aby przystanął.

Stary chłop pozostał na miejscu z piersią pełną żalu i skruchy.

Staremu Smakowi, jak go z fabryki wypędzili, coś się pono w głowie popsło — poinformował wychekujący furman.

I zaczął opowiadać, jak Maciej nocami po polach lata, zawodzi, pod figurami klęka i strasznie o coś się modli.

— Zeszłej niedzieli przez całe nabożeństwo krzyżem leżał, a po sumie to go ledwie na siłę z kościoła wyprowadzili, bo wyjść nie chciał, jeno się ciągiem w piersi bił i płakał, jak nieprzymierzając, dziecko. Ludzie pedają, że mu z biedy rozum pomieszało — rozwodził się gadatliwie.

Słodowski słuchał, milcząc. Był przygnębiony. Wyznanie starego chłopca odświeżyło mu w pamięci cały przebieg zaszłych wypadków, które i jego w koło smutnych wydarzeń wplotły. Mimo całej ohydy zbrodniczego zamachu, uznawał w tym, ziejącym zemstą chłopie, narzędzie ślepe, poddające się gwałtownemu porywowi odwetu za doznaną krzywdę. Pojęcia krzyw-

dy i zemsty splatały się w jedną spójną całość przyczyn i skutków.

W umyśle Słodowskiego zrodziło się bezwiednie pytanie: czy on, człowiek wykształcony, dałby się porwać w danym wypadku podobnemu uczuciu? Czy w razie krzywdy, umiałby przebaczyć wspaniałościom?

Rozważał, przeżuwał wpojone w duszę zasady humanitarne, a nie znajdując stanowczej odpowiedzi. Myśl krążyła w zaczarowanym kole przeczeń i twierdzeń.

Wreszcie zmęczony, dał pokój nużącej refleksji. Wjeżdżano na terytorjum fabryczne. Niebawem pojazd zatrzymał się przed mieszkaniem chemika.

Było dopiero po pierwszej, ale Słodowski nie chciał się już kłaść na spoczynek. Zapaliwszy lampę, odczytał powtórnie telegram.

Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby zawiadomić panią Olszyńską z samego rana, że Jan przyjazd opóźnił.

— I do Brzostowa trzeba dać znać. Odłożą *fete* — myślał.

I siadłszy przy stoliku, napisał kilka słów objaśniających. Włożył w kopertę razem z depeszą i zaadresował.

— Stróż rano doręczy. Nie będą się spodziewali napróżno — układał, biorąc czapkę.

Wyszedł z zamiarem odszukania nocnego stróża.

Ruszył ku budce szwajcara. Tu napotkał stróża. Nadmieniwszy w kilku słowach o przyczynie powrotu, dał mu list z poleceniem jak najwcześniejszego doręczenia.

Poczem zawrócił ku domowi. Zrobił kroków kilka, przystanął... rozglądając się wokół. Nad kadłubem nieczynnej w tej porze cukrowni płynął księżyc, złotym odpryskiem promieni trącając o olbrzymie kominy, dalej skąpane w gwiazdzistej rozświetli lśniły bla-

szane dachy zabudowań fabrycznych, za niemi szare masy gwarzących szeptem konarów drzew parkowych.

Wszystko zdawało się śnić... marzyć... odpoczywać... Jakiś błogi bezruch wytchnienia kładł piętno na każdym przedmiocie.

Słodowskiego pociągnęła cisza uspionej ziemi.

Trzeźwiąca świeżość nocnego chłodu oddaliła potrzebę snu. Postanowił przejść się. Minął własne mieszkanie i bezwiednie skierował się ku domkowi Olszyńskich.

— A może jeszcze nie śpią? — myślał, idąc wyspaną zwirom ścieżką. Przychodziło mu na myśl, że upojona radością z bliskiego powrotu Jana, matka, może jeszcze czuwać. Nieraz dłużej dosiadywali, a zresztą... Co mu to szkodzi zajrzeć? Szedł, dotykając dłonią żelaznych sztachet ogródka.

Brama podwórzowa była uchylona do połowy. Wszedł na dziedziniec.

W dworku było ciemno, tylko z bocznego okna przedzierało się przez szyby nikłe światelko nocnej lampki.

Podszedł bliżej. Lekki wietrzyk załomotał w obrastającym ganek dzikiem winie, prześlizgnął się po szklanych taflach werandy, zabrzączał i ścichł, przelatując nad głową wpatzonego w dworek chemika.

Słodowskiemu zaczynało gorzeć w piersiach.

O kilka kroków, za kruchą ścianą cegieł, tam... śpi jego skarb, jego szczęście, jego wszystko!... Złota główka tonie w miękkich fałdach poduszek... rączki skrzyżowane na kołysanej sennem marzeniem piersi... lepkie koralowe wargi sączą oddech ciepły, odurzający, jak woń rozpekających jaśminów!

Czar! czar! czar!

Słodowskiego spowiła słodka zaduma.

Wpośrodku gazonu leżał duży odłam polnego granitu, około którego rosły zwarte kępy bzu.

Czatujący pod oknami Słodowski skierował się

w tę stronę. Jakiś gwałt rozkoszny nie dozwalał mu odejść. Siadł na zwilgoconym rosą głazie. Głowa mu opadła pod brzemieniem upajających myśli, wsparł ją na dłoni i marzył.

Gazon był pełen rozsadzonych na wiosnę roślin, ułożonych symetrycznie w deseń. Niektóre zakwitały. Różnobarwne wieżyce hjacyntów wystrzelały z szablitych opon zieleni, opuszczone główki narcyzów tuliły się do siebie, z mięsistej łodygi tulipanów zwieszały się, oczekując rannego świtu, kielichy; sztywny bukszpan, okalający klomby, niby żołnierz na warcie, czuwał nad obozowiskiem śpiących kwiatów.

Słodowski powiódł okiem po tych niemych świadkach swej zadumy.

Wśród ciszy jasnej, księżycowej nocy, drobne roślinki wydały mu się bratnimi istotami, które czują, myślą z nim razem i równie jak on wyczekują na coś bardzo drogiego...

Tylko cierpliwiej od niego. Bo oto przysiadł wiankiem w pulchnej ziemi i milczą bez prośby. A jemu w piersiach gra, serce dzwoni i dzwoni, a krew burzy szumem, niby potok górski po dnie skalistem. Wszystko w nim domaga się czegoś głośno. Całego siebie słyszy...

W przestworzu zamigotała spadająca gwiazda. Słodowski podniósł głowę.

Nagle doleciał go szept ludzkich głosów... Słuchomiony dźwięk jeden, potem drugi...

Uczuł stalowe zimno w całym ciele. Instynktownie cofnął się za zręb głazu. Nogi się pod nim gięły, przykucnął...

Szeptanie rosoło. Z ogrodowej altanki wynurzyły się dwa cienie...

Na wysypanej piaskiem ścieżce rysowały się wyraźnie sylwetki dwóch głów, dwóch postaci. Słysząc nachylone ku sobie piers przy piersi. Przed nimi biegł

echem szmer lekko stawianych kroków. Szept zbliżał się i rozlewał strugą cichych, jak westchnienie półtonów.

Słodowski znał te szepty! znał!

Dech zamarł mu w krtani.

Ścieżką ku oświetlonemu nocną lampką oknu kroczył Horst Kurzbach z Wałą pod rękę, oplatając jej kibić ramieniem...

Słodowskiemu oślepiająca jasność zaświdrowała w mózgu! Przed oczyma nagle zamigotały wszystkie naraz gwiazdy, niby kule żonglerskie ręką sztukmistrza wyrzucone, chaos błyskawic uderzył w skroń... Zatargało... zapiekło... Jakaś miazdząca siła chwyciła go całego w szpony, zgmiotła serce, wyrwała z piersi... I zrobiło mu się nagle pusto, straszno, ciemno, jakby Bóg wszystkie światła przestworza zagasił!

Zachwiał się, padł twarzą na kamienną płytę, chwytając zębami głaz zimny. Kąsał... Rozdarta piekielnym bólem pierś broczyła rozpaczą tak wszechmocną, jak śmierć sama.

W Słodowskim gasło czucie, pustoszała dusza, konały zmysły. Otoczył go mrok czarny i głusza...

Wreszcie przejmujący, zdławiony jęk rozdarł powietrze.

Podniósł się, spojrzął błędnie oczyma... W ogrodzie nie było nikogo. Rzucił się pędem ku altanie. Zgrzytliwy śmiech wykrzywił mu usta. Wbiegł... padł całym ciężarem na jedną z ławek i znów się zerwał. Zaczął, jak pies, tropić odciski na piasku ślady.

Teraz miał już łzy w oczach. W sercu rodziła się bolesna skarga:

— Krzywda! krzywda!

Zmartwychpowstał w nim ból i trzeźwił.

Słodowski oprzytomniał.

W miarę wracających pojęć okrutnej prawdy,

rozrastała się w jego duszy rozpaczliwa złość, jakieś wołanie o litość, pragnienie czegoś, w czemuby boleść utopił, smutek zagładził — chęć pomsty.

I wydało mu się teraz, że stanęła przy nim siwa, skurczona postać starego wyrobnika: groźna, straszna, dzika, że żyłastą pięść podnosi i szepcze:

— Wszystko przez nich! przez nich!...

Chwycił się za głowę.

— Tak, wszystko przez nich!

Bezwiednie zacisnął dłonie, straszna groźba strzeliła mu z oczu.

— Zabić! zabić! zatłuc jak psa! zdusić!!

Wpiął palce we własne ciało. Na czoło wystąpił mu węzeł nabrzmiałych żył, w głowie huknęło:

— Krzywda! krzywda! krzywda!

I jak śmiertelnie raniony zwierz, zaczął biec ku bramie...

Nagle... jakiś przedmiot lśniący zaświecił mu przed oczyma... Przedświt ranny siał już błyszczem po ziemi.

Na ścieżce leżał duży skórzany portfel ze stalową kłamrą.

Słodowski podniósł portfel, otworzył. W jednej z przegródek była fotografia... Wali. Ognie uderzyły mu na twarz. Ręce błyskawicznie podniosły fotografię do ust... i opadły bezwładnie, jak złamane skrzydła.

Twarzą chemika wstrząsnął skurcz niewysłownego bólu, lodowata sztywność naprężyła wszystkie mięśnie.

Spojrzął na dworek Olszyńskich — raz... drugi... trzeci... I jak automat powłókł się do swego mieszkania.

Tu płakał długo...

VIII.

Skórzany kufer, kilka zawiniątek leżało na środku pokoju. Słodowski spakował wszystkie rzeczy. Śpieszył się, żeby przed przyjściem służącego skończyć.

Wyjechać! uciec! zniknąć! było teraz jedynym jego życzeniem.

Blady był, bezduszny, ale spokojny o tyle, że zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, co zaszło, i z zupełną samowiedzą postanowił opuścić fabrykę.

W kilkugodzinnej rozpacznej walce, w której grzebał własne szczęście, zetlił się płomienny poryw pierwszego bólu.

W pierwszej chwili nieokiełznany żal pchał go do zemsty, do wzięcia bezwzględного odwetu za trawiące go cierpienia.

Byłby biegł zaraz, zabijał... a jej... rzucił w twarz kłatwę! zdeptał, poniżył, zniesławił!...

Ale na samą myśl o tem zdjęła go niemoc, krusząca wszelką wolę, ogarnęła bezwładza rozczulenia...

Jął żałować już nietylko siebie samego, ale i jej... Wspomnienia złudnych marzeń odżyły, a jednocześnie jakiś głos tkliwy, dobry, prosił w duszy:

— Daruj! przebac!

Potem tenże głos pytał jeszcze: o prawo do pomsty nad nią? o winę? żądał dowodów tej winy...

I radził:

— Stało się... Wyjedź, zapomnij! Uczyn to dla niej, którą kochałeś!...

Słodowski chciał się bronić, odtrącić od siebie ten szepot błagalny. Nie mógł. Usta powtarzały:

— Kochałem! kochałem!

I coś zapadło się w nim, aby nie powstać więcej. Uczuł ulgę. Z lodowatym spokojem zaczął się zbierać do wyjazdu.

Tak będzie najlepiej. Zniknie... bez śladu. I nikt

nie będzie wiedział, dlaczego... Nikt! A potem? potem? kiedyś... kiedyś...

Jednej myśli pozbyć się tylko nie mógł. Nikt nie będzie wiedział, ale Kurzbach *musi* wiedzieć...

Tego rachunku nie zostawi przyszłości. Własne szczęście pogrzebał na zawsze! ale cudze... jej... ocali... choćby mu serce pękło! ocali... Albo... zabije...

Była godzina dziewiąta, kiedy Słodowski chwiejącym krokiem wchodził do mieszkania dyrektora. Wszedł, nie zapukawszy nawet we drzwi.

Horst Kurzbach siedział przy śniadaniu.

Szwajcar w rannym raporcie doniósł mu już o powrocie chemika i opóźnieniu przyjazdu Olszyńskiego.

Zaczął tedy:

— Wiem już, wiem... Wrócono pana z drogi: pan Olszyński nie przyjechał.

— Mnie wrócono z drogi? — powtórzył, jał echo, chemik. — Wróciłem przed *pięroszą* — dodał z naciskiem, zbliżając się do stołu.

Mówił sucho, bezdźwięcznie. Kurzbach, który już wyciągał rękę na powitanie, spojrział nań zdumionymi oczyma.

Teraz dopiero spostrzegł, że ze Słodowskim dzieje się coś niezwykłego.

Ten, nie spuszczać zeń lodowatego wejrzenia, szukał po kieszeniach, rozpinając nerwowo zwierzchnie ubranie.

Kurzbach, powstawszy, machinalnie cofnął się wstecz.

— Co panu jest? panie Słodowski! — zawołał, targnięty złem przecuciem.

W tej chwili duży skórzany portfel znalazł się przed nim na stole.

Słodowski, podany naprzód, z rękoma wspartymi o poręcz krzesła, syknął:

— Zdażyłem na czas, aby znaleźć pańską zgubę...

Zarówno ton głosu, jak i cała postawa chemika nie dopuszczały najmniejszej wątpliwości. Sytuacja była jasna.

Kurzbach chwycił gorączkowo za portfel. Poczzerwieniał, a potem zbladł. Błysk zjadliwego gniewu, zmieszanego z odcieniem mimowolnego zatrwożenia, odmalował się w sinych źrenicach Horsta. Podniósł trzymany portfel w górę, zamierzył się... Zdawało się, że rzuci nim w twarz przeciwnika...

W powietrzu warknęły dźwięki, które razem złane, utworzyłyby wyraz: szpieg!

Słodowski szarpnął krzesłem.

Kurzbach zmełł w ustach niedopowiedziany wyraz. Trzymająca portfel ręka opadła mu z łoskotem, uderzając w stół.

— Cóż więcej? — szepnął wyzywająco, zdławionym głosem.

Słodowski nie zmienił pozycji. Postawione w słup oczy patrzyły groźnie, twarz blade-sina ani drgnęła.

Po chwili złowrogiej ciszy, nie spuszczać z Kurzbacha stalowego wejrzenia, spytał głucho:

— Czy pan się ożeni z panną Olszyńską? Mówmy na chłodno.

Kurzbach nie spodziewał się tak wręcz postawionego pytania. Przypuszczał, iż posypią się groźby, zniewagi, kłatwy... Był zresztą zdecydowany na wszystko, pewien, że podwładny mu oficjalista, po chwilowym wybuchu, ostygnie. W ostateczności gotów był doprowadzić starcie do *honorowego* rozstrzygnięcia. Odpowiednio też nastrajał się cały. Sprawa przybrała dlań najniespodziewańszy obrót.

Jakoż po chwilowym wahaniu, rzucił:

— Jakiem prawem pytasz pan o to?
— Prawem uczciwego człowieka...
— Nie zwykłem zdawać sprawy ze swych postępów przed nikim!

Przychodził do siebie. Chłodny spokój Słodowskiego wydał mu się podejrzanym.

— Nie będzie śmiał — pomyślał i uśmiechając się wzgardliwie, kończył z naciskiem lekceważenia:

— Wystąpienie pańskie, panie Słodowski, tłumaczę sobie zwykłem w takich razach podnieceniem i nieznanomością form ludzi *dobrze* wychowanych... Tłumaczę sobie... i nie mam panu za złe! Nie umiesz pan być rycerzem swej damy. U nas takie sprawy załatwiają się w inny sposób.

Spojrzał szyderczo na zawieszone na ścianach rapiry.

Słodowski odczuł szyderstwo. Sine pręgi na czole zarysowały się wyraziściej.

— Czy pan się ożenisz z panną Olszyńską? — powtórzył z wysiłkiem.

Kurzbach padł na krzesło. Założył nogę na nogę i kołysząc się, zadrwił:

— Odpowiadajmy sobie wzajem na pytania. Jeżeli tak ma być już koniecznie. Ja pańskich romanów nie jestem ciekawy... a drogi do bohdanek nie zagradzam.

Czuł się panem położenia. W jego przekonaniu Słodowski bał się wszczynać awantury, postanowił też nie przedłużać drażliwej rozmowy.

— Skończmy to już raz — mówił. — Nie mam czasu... Nie nadużywaj pan mojej cierpliwości.

Była to już pogroźka. Kurzbach zaczął lekceważyć przeciwnika.

— Głupiec, zdjęła go zazdrość, zagalopował się, a teraz sam nie wie, co ma dalej robić — myślał, spoglądając na stojącego bez ruchu chemika, jednocześnie uczuwając wzrastający gniew na tę kreaturę,

krzyżującą jego plany. Bądź co bądź, mogły z tego odkrycia wynikać wcale niepożądane dlań następstwa. Pomimo drażniącego wzburzenia, szukał wyjścia. Najwłaściwszym wydało mu się uspokoić Słodowskiego. Przynajmniej narazie zatarłby sprawę. W umyśle Kurzbacha powstała nieomal pewność, że jedyną pobudką wystąpienia chemika jest zazdrość. Dwukrotne pytanie: „czy się ożeni z panną Olszyńską?” utwierdzało go w tem przekonaniu.

Rozumował, nie bez gniewu:

— Trzeba go ugłaskać. Narobi niedźwiedz hałasu. Skompromituję się. Tamten przyjedzie... ładna zabawa. Niech to djabli wezmą! Żal mi dziewczyny... Szkoda jej na panią Słodowską, ale...

I już otwierał usta, aby łagodniejszym tonem, bez szyderstw, rozpocząć pertraktację, gdy wyczekujący na odpowiedź Słodowski wyprostował się raptownie, i odetchnawszy, chrapliwie zawołał:

— Pytam się raz ostatni, czy się pan ożenisz? W Kurzbachu odżył gniew.

Podniósł się i gestem ukazując drzwi, krzyknął:

— Dość! Precz stąd, ty! opiekunie niewieściej cnoty! ty polski chłopie!

W tej chwili stało się coś straszego. Dwie rozkrzyżowane ręce sięgnęły przez stół... Kurzbach uczuł ból w stawach. Szarpnął się gwałtownie...

O cal od swej twarzy ujrzał piekący wzrok chemika, uczuł rwący oddech. Usiłował wyrwać się. Słodowski przypiął się doń jak kleszcz, trzymał przeciwnika, przyciągając ku sobie i dyszał:

— Posłuchaj, ty niemiecki szlachcicu! ja pójdę precz, pójdę! Za godzinę mnie nie będzie!... Ale ty!... ty! Bić się z tobą nie będę... Chop jestem! dobrze powiedziałeś... Ale jeżeli ona jedną łzę uroni... zabiję, jak psa zabiję, choćby z końca świata wróć... i zabiję! Zeń się, albo...

Głos mu się załamał, ręce osłabły. Oszołomiony

Kurzbach wydobył się z gniotących objęć. Mając wolne ręce, chwycił instynktownie za poręcz krzesła w zamiarze obrony.

Słodowski uśmiechnął się gorzko; odetchnął ciężko, odstąpił krok od stołu.

— Widzisz pan, chłop po chłopsku... — szepnął teraz zniżonym, mniej już przyschłym głosem. — Chłop po chłopsku... Wyjeżdżam... Panu zostawiam wóz i przewóz. Zeń się lub opuść te strony... — mówił, niejako z odcieniem prośby — Nikt nie będzie wiedział, co się stało. Ja wyjadę... nie powiem...

Urwał i znowu podnosząc głos, zawołał:

— Słyszalesz pan, niech ona nie cierpi. Inaczej... wróć.

Potrząsnął groźnie pięścią i wybiegł z pokoju, nie czekając na odpowiedź.

Kurzbach stał długo, nie ruszając się z miejsca, ogłuszony tem wszystkim.

— *Schöne Geschichte!* — mruknął wreszcie, biorąc do rąk porzucony portfel. — *Kreuzdonnerwetter!* Nie przypuszczałem, iż mała narobi mi tyle kłopotu. Taki cham i... miłość! Ostatecznie głupia sprawa.

Pani Olszyńska, odczytawszy doręczony przez stróża list, nadaremnie oczekiwała Słodowskiego.

Chemik wyjechał najętą furmanką, nikomu nie powiedziawszy dlaczego porzuca fabrykę i gdzie wyrusza. Domyślano się różnie.

IX.

Parlament huczał od braw rządowców i protestów opozycji.

Książę kanclerz przemawiał w obronie wielkiej

ojczyzny niemieckiej, której zagrażały... piękne oczy Polek. Tysiące dzielnych synów Germanji legło już pod miłosnemi strzałami chabrookich *Weichselmüchchen!* Setki Hansów i Michelów, Samsonów niezwykłej armji, śpiewało pieśń o kądzieli u nóg polskich Omfali!

Książę kanclerz ostrzegał przed groźnem niebezpieczeństwem wynaradawiania się młodszych obywateli teutońskiego szczepu, za cenę uścisku alabastrowych ramion Polek. Dzieci małżeństw mieszanych odpadały od wielkiego pnia niemieckiego, przyłączając się do nienawistnego szczepu *Reichsfeindów!*

Intryga polska ukula z hymenu nowy, straszny oręż przeciw bezpieczeństwu państwa!

Książę kanclerz mówił długo, mówił pięknie... śpiewał nawet.

Jak wytrawny monologista, dla urozmaicenia popisu nucił, atakując kochliwość niemieckich dzieci: *Wo bist du teuerster Lagienka?*

Żaden tenor nie śpiewał z większem powodzeniem! Aula trzęsła się od okłasków, wśród których nikły nieliczne protesty posłów poznańskich i szyderskie wykrzykniki katolickiego centrum.

Stenografowie machali pośpiesznie piórami, aby żadnego słowa nie uronić.

Z ławek i łóż co chwila rozlegał się entuzjazm niemieckiego patriotyzmu.

Druty telegraficzne pracowały bez przerwy, niósąc przemówienia kanclerskie na krańce świata.

Ludzkość odbierała jeden policzek więcej, wymierzony ręką bismarkowską.

Na „Leipziger-strasse“ pod gmachem parlamentu stał różnorodny tłum gawiedzi, z niecierpliwością oczekujący na nowiny.

Ulica brała udział w *Polendebatach*, manifestując swe uczucia przeciągłym szmerem.

Powtarzano sobie z ust do ust pojedyncze ustę-

py mowy, jak rozdziały ewangelji, unosząc się, chwając, komentując. Z niektórych grup rozbrzmiewało sztytcherzo nucone:

— *Wo bist du teuerster Lagienka?*

W kawiarniach i „bierhalach“ targowano tego dnia olbrzymio. Naród filozofów podlewał uniesienie patriotyczne... piwem.

— *Prosit! Prosit! Hoch!* wybiegało chorałem z brandeburskich gardzieli na cześć warcińskiego dziedzica.

Wieczorem ukazały się nadzwyczajne dodatki pism z dosłownym tekstem mowy Bismarcka.

Rozchwytywano je.

Cały Berlin czytał.

W jednej z pierwszorzędných restauracyj, w której zwykle zbierał się świat dziennikarski, siedziało przy stoliku kilku wykwiśtnie ubranych młodych ludzi. Na stole, wśród niedopitych kufli piwa, leżał półurzędowy dziennik „Post“. Jeden z biesiadników robił notatki, drugi rozglądał się ciekawie po pełnej sali gości.

Wokół politykowano zawzięcie.

— Wysłałem szczegółowe telegramy — odezwał się piszący, chowając notes — chciałbym jeszcze napisać jaki sensacyjny artykuł o... Polkach. Czy one naprawdę tak powabne? — spytał najbliżej siedzącego towarzysza.

Ten potaknął gestem, a potem rzucił od niechcienia:

— Ernest, znasz ty Horsta Kurzbacha?

— Doskonale. Kolega uniwersytecki.

— Ten mógłby ci dostarczyć materiału.

— Jaktó?

— Mieszkał w *tym kraju* i miał podobno jakiś romans. Szkoda, że go tu niema.

— Nadejdzie. Bywa tu codziennie o tej porze... — odezwał się drugi.

— To byłoby wybornie. Rzecz aktualna — zauważył Ernest Kubetschak. — Dokument życiowy... Więc powiadacie, że nadejdzie? Dawno go nie widziałem. Poczekamy? Dobrze... Kelner, piwa!

Stuknęli w kufle.

Gości co chwila przybywało.

Kubetschak z towarzyszami rozprawiał, popijając piwo, o poczytności „Gazety Szląskiej“, której był korespondentem.

— A co najciekawsze — mówił — że i nad Wisłą mamy z górą tysiąc abonentów. *Lodz... Warschau...* w każdej cukierni znajdziesz nasz organ. Polacy lubią czytać o sobie, choćby im nawet wymyślano.

Kończył tę uwagę, kjedy otwarły się drzwi, i do sali wszedł wysoki przystojny blondyn, z twarzą pełną szram.

— Oto go masz! — zawołał towarzysz Kubetschaka — Horst! Horst! pst! pst!

Przybyły, zauważywszy nawoływanie, zbliżył się do stolika.

Wymieniano powitania.

Dziennikarz, nie tracąc czasu, zarzucił go pytaniami.

— Czytałeś mowę? Mój drogi! mam prośbę... nie odmów... *Żyłś w tym kraju...* Potrzebuję pewnych szczegółów. Będiesz dla mnie nieocenioną kopalnią!...

— I owszem — odrzekł Horst Kurzbach nie dbale. — Ale do czego ci to potrzebne, Ernest?

— Mój drogi, nie każdy może być Kurzbachem i nic nie robić. Jako dziennikarz żyję z pióra. Twoje zwierzenia będą wielce *a propos*. Z ust naocznego świadka... Czy to prawda, żeś się durzył w Polce?

Roześmiał się. Po twarzy Kurzbacha przesunął się odcień zakłopotania.

— Niepoprawny! — żartował dziennikarz —

Kelner! cztery *halby!* Jakże to było?

— Stare dzieje — odrzekł Kurzbach zamyślony. Dziennikarz nie przestawał nalegać.

— Taki artykuł — przedstawiał — wywrze kolosalne wrażenie. Sam Bismarek gotów go zacytować w parlamencie!...

— A ty porośniesz w pierze — zauważył wesoło Horst.

— Stanie się sławnym od Renu po Odrę! — zażartował jeden z towarzyszy — *Prosil!*

Popili z kufli.

Na twarzy Kurzbacha zaigrał złośliwy uśmiech. Dziennikarz prawił w dalszym ciągu:

— Nie sądzę-że przypadkiem, że cię żywcem osmaruję. Bez nazwisk! i tak ogłędnie, żeby się nikt nie domyślił, jeśli ci na tem zależy.

Horst zrobił gest lekceważący.

— Wszystko mi jedno. Nie myślę tam wracać przecie. Jestem dobrym kolegą, daję ci zupełną *carte blanche*. Tylko nie kłam na mój rachunek...

Kubetschak obruszył się.

— Po co! Dam ci poprzednio artykuł do przeczytania. Bądź pewnym, że jednego nie dodam słowa.

— Zatem zgoda! Kelner, piwa!

— Słuchamy! słuchamy!

Horst Kurzbach zaczął opowiadać. Dziennikarz z towarzyszami słuchali z początku uważnie, nie przerywając. W miarę opowiadania zaciekawienie słuchaczy wzrastało. Przygoda miłosna niemieckiego donżuana budziła coraz większe zajęcie.

Siedzący przy sąsiednich stolikach piwosze zaczęli również nasłuchiwać.

Kurzbach opowiadał z niejaką fanfaronadą, dosadnie, gładko. Wspomnienie podniecało go, zapalił się.

Słuchacze przerywali teraz wykrzyknikami:

— *Schneidig! schneidig! Weiter! weiter!*

Dziennikarz zapytywał miejscami o niektóre szczegóły.

— Ostatecznie, na czym się skończyło?

Horst potarł czoło.

— Na niczem. Kochaliśmy się platonicznie! — odpowiedział.

— Innemi słowy: odszedłeś z kwitkiem. Pokpiłeś sprawę, Horst!

Kurzbach popatrzył mu w oczy. Namarszczył się.

— Nie róbże takiej miny, jakbyś na mojem miejscu zyskał coś więcej. To śmieszne! — odrzekł drwiąco.

— No! no! — załagodził Kubetschak, nieco zdetonowany drwiącą uwagą. — Nie miałem tego zamiaru. Byłeś i jesteś mistrzem! — pochlebił.

Towarzysze potwierdzili, wyliczając zdobycze Kurzbacha ze szkolnych czasów.

— Pepi! Stephi!... Karoline...

— Nie warte jej trzewików czyścić — wybuchnął Kurzbach. — To inny typ! Nie róbcie nawet porównań. W całym Berlinie niema takiej...

— I to mówi człowiek żonaty! Gdyby się tak żona dowiedziała! — zauważył któryś z udanem zgorzzeniem. — Nie daj pisać artykułu...

Horst wydał wargi.

— Moja żona gazet nie czytuje... Niema na to czasu... — wycedził niedbale przez zęby.

— Bardzo słusznie — zauważył Kubetschak — ale, ale... Cóż się z rywalem... z tym chemikiem stało?

— Nie wiem. Nie widziałem go więcej. Chciał mię gwałtem zmusić do ożenienia... Nie przyszło do tego, bo, jak wiecie, ktoś ojcu doniósł i stary wywiózł mię poprzedzej...

Zamyślił się.

— Wiecie co? — zaczął po chwili. — Dziś, gdy się nad tem zastanawiam... Przyznaję... Mało brako-

wało... Byłbym się ożenił... Tylko raz się kocha! — dorzucił sentymentalnie

— Zatem kanclerz ma rację. Polki to niebezpieczny przeciwnik — napomknął półzartem dziennikarz.

Wybuch śmiechu zawtórował tym słowom.

Jeden tylko Kurzbach sponsepniał.

Kelner podał nową kolejkę piwa.

Zaczęto teraz gawędzić o polityce. Kurzbach słuchał, milcząc. Wspomnienia rozstroiły go. Wypróżniał kufel za kuflem, nie mieszając się do rozmowy. W końcu pożegnał towarzystwo i wyszedł, nucąc:

— *Die schönsten Augen hat die Polin...*

Przyszedłszy do domu, zrobił żonie awanturę.

Pani Eliza Kurzbachowa płakała z żalu noc całą, rosząc rzęsistemi łzami świeżo powleczone poduszki. Rano zmieniła powłoczki. Porządek przedewszystkiem.

Jej *Schatz* miał cały dzień *Katzenjammer*.

W najbliższym numerze „Szlązerki“ w rubryce „Z parlamentu“ wydrukowano sensacyjny artykuł pod tytułem: „Polska Cyrce“. Dzienniki polskie przetłumaczyły go dosłownie.

X.

Przed dworem w Brzostowie przechadzał się pan Bruzdowicz z widocznymi oznakami zniecierpliwienia. Słońce skręcało już z południa; błyszcząca tarcza kompasu, umieszczonego w środku gazonów, wskazywała godzinę drugą.

Pan Bruzdowicz chodził tam i z powrotem od

ganku ku bramie wjazdowej, przysłaniał dłonią oczy, patrzył po widniejącej w oddali, wysadzonej topolami drodze i mruczał z niezadowolenia:

— Nie widać. Już to Femcię puścić gdzie samą, zawsze na swoim postawi. Z pewnością wyciągnęła Jasiów na odpust. A posiłem... Tłok, zaduch... I dzieciaka pewno zabrały...

Machnął ręką.

— Jaś, zdawało się, że taki energiczny człowiek... a okazuje się — pantoflarz! Co niedziela toż samo. Nabożeństwo... nabożeństwem, ale żeby znowu wysiadywać godzinami... Stara Olszyńska rozumna kobieta, ale bigotka. I tę biedną Walę kierują poprostu na starą pannę... Dziewczyna od ludzi stroni... w książkach siedzi... Od wyjazdu Słodowskiego nie do poznania. Ciekawa rzecz, co też między nimi zaszło? Dwa lata mija, a nie dał znaku życia!... Pewnie go wtedy odpaliła, chłopak wziął na ambit i drapnął... Nic mi do tego, ale radbym się prawdy dowiedział.

Przysiadł na ganku i zamyślił się.

Cofał się pamięcią wstecz i rozpamiętywał, poczynając od jubileuszu starego Kurzbacha i owego wypadku w kotłowni. Jak się to wiele zmieniło w tak krótkim okresie czasu!

Z Kurzbachów, z całej Niemczyzny nie pozostało prawie śladu. Stało się to raptownie i niespodziewanie. Równocześnie niemal z zagadkowym zniknięciem Słodowskiego, wyjechał młody Kurzbach — i nie wrócił więcej... Nadeszła wiadomość, że Kurzbachowie zrzekli się dotychczasowych stanowisk. Prawdopodobnie wybuch w kotłowni odegrał tu jakąś rolę. Straty były znaczne, fabryka dała znacznie mniejszą dywidendę, hrabia się zraził, przytem, wobec stosunków w Poznańskiem, nie wypadało mu trzymać Niemców u siebie. Uległ poprostu opinii...

...Jaś został dyrektorem. Dawno mu się to na-

leżało. Szkoda tylko, że Słodowskiego nie ma. To także arcyporządny człowiek. Myśleli wszyscy, że wy-czytawszy w gazetach o ślubie Jasia, przyjedzie... Nie pojawił się. Nie wiadomo, gdzie się obraca. Tymcza-sem dziewczyna żałuje i wędnie. W oczach wędnie... Głupstwo się stało, straszne głupstwo! Co jej wtedy strześliło do głowy? Żeby nie to, mogłaby mieć stara Olszyńska już drugiego wnuka po kądzieli...

Turkot zbliżającego się pojazdu wyrwał Bruzdowicza z zaduny. Podniósł się żywo. Spojrzał. Droga ku dworowi pędziła czwórka siwoszów.

— Przecie! — mruknął i ze zwykłą ludzom starszym skłonnością do pamiętania o sobie, idąc na-przeciw, szeptał:

— Chwała Bogu! Wyszli się. Czy aby ga-zety wiozą? Mogli już pocztę zamknąć, a tam teraz takie ciekawe rzeczy!

To „tam“ oznaczało parlament niemiecki.

Stary szlachcic politykował zawzięcie, rozporządzenia antypolskie bolały go i zaciekawiały niepo-miernie. Psuł sobie krew, czytając, niemniej czytał, oczekując gorączkowo poczty ze świeżymi dziennika-mi. Od czasu, jak interesy administracyjne Brzosto-wa oddał zięciowi, godzinami przesiadywał z gazetą w rękę, obmyślając przeróżne środki, w celu pokrzy-zowania wstrętnych planów Bismarcka.

W dzisiejszych gazetach mogło być właśnie do-kończenie ostatniej mowy kanclerza, głosy postów polskich, a prawdopodobnie rzeczowa lub dowcipna odpowiedź Windhorsta.

Stary szlachcic żywił uwielbienie dla „małej ekscelencji“, zwłaszcza odkąd przywódca centrum za-czął jawnie występować w obronie Polaków.

Przypuszczenie, że kobiety mogły zapomnieć o poczcie, co się już parokrotnie przytrafiło, zanie-pokoilo Bruzdowicza. Z niecierpliwości, ruszył po-spiesznym krokiem ku bramie.

Powóz zbliżał się szybko.

— Jada! — powtarzał Bruzdowicz, drepcząc i zacierając ręce.

Po chwili wjeżdżał czterokonny ekwipaż na dzie-dziniec.

Bruzdowicz rzucił się obcesowo do drzwiczek.

— A toście się wysiedziały! Gazety są? — spytał na wstępie.

— Są! są! — odpowiedziały chórem kobiece głosy...

Dał już pokój dalszym wymówkom i zaczął witać panią Olszyńską, pomagając jej wysiąść. Z kolei wy-sadził Walę, a wreszcie wziął z rąk nianki wnuka i jał się z nim pieścić, równocześnie nawołując:

— Teraz ciotka niech pomyśli o obiedzie, boście mi, moje panie, djabelnie długo kazali czekać na siebie! A gdzież to Jaś? — spytał, teraz dopiero spo-strzegłszy nieobecność zięcia.

— Jasiowi wypadł jakiś interes. Wyjechał z rana. Ale powinien niedługo wrócić — objaśniła Wanda, znacząco mrugając na ojca.

Ten nie spostrzegł dawanych znaków i dowcip-kując, mówił:

— Wyjechał! Zaraz też znać babskie rządy! O trzeciej z kościoła... Za karę, musi mi panna Wala przeczytać gazety. Zgoda? co? A dużo tam tego? — spytał, szukając wzrokiem paczki z dziennikami.

Podszedł do panny Olszyńskiej i podał jej ramię. Wala uśmiechnęła się smutnie.

— I owszem... — odrzekła, zabierając zwitek gazet.

— Prawda, panno Walu, że niema to, jak stara gwardja? — żartował, wiodąc ją pod rękę do wnętrza domu. — Żeby mi tak jeszcze wzrok dopisywał! za-kasowałbyś niejednego młodzika!

I zaczął iść zamaszystym krokiem, pokręcając wąsa i spoglądając z pod oka na zawsze piękną twarz

dziewczęcia. Lubił Walę bardzo i zawsze starał się ją żartami rozweselić.

Wanda, podbiegłszy, trąciła ojca w ramię.

— Tatuńciu!

— Dajże mi pokój! Mam pannę Walę i gazety, to mi nic nie potrzebaj!

— Ależ mam tatce coś powiedzieć od Jasia.

— Czy to sekret?

— A właśnie, że sekret!...

— W takim razie, przepraszam.

Puścił ramię panny Olszyńskiej, która odsunęła się dyskretnie, i zbliżywszy się do córki, spytał:

— Cóż takiego?

— Będziemy mieli dziś niezwykłego gościa... — zaczęła szeptać na ucho.

Na twarzy Bruzdowicza odmalowało się radosne zdziwienie.

— Nie może być?!

— Z pewnością. Jaś wczoraj list odebrał... Ale sza... bo to niespodzianka — dodała, ukazując oczyma Walę, która w drugim pokoju wyjmowała gazety z opasek.

— A matka wie?

— Także nie.

— Doskonale! doskonale! Dopiero się zdziwią...

Zatarł ręce z radości.

Zapomniał o gazetach, o polityce i odciągawszy córkę na bok, z niezmiernem ożywieniem mówił:

— Prawdziwie się cieszę! prawdziwie! Jakże myślisz? Pogodzą się pewnie teraz... hm? Chwała Bogu! bo mi tej biedaczki serdecznie żal... Sprawimy weselisko co się zowie! Już ja w tem, że to przyjdzie do skutku!

Starsza pani Olszyńska, zajęta dotychczas wnukiem, któremu po przejażdżce zdarzyła się mała przygoda, zbliżyła się teraz, pytając:

— O czymże to państwo tak rozprawiacie?

A wyczytawszy w rozjaśnionych twarzach obojga coś niezwykłego, dodała z ciekawością:

— Możeby i ja mogła wiedzieć?

Bruzdowicz spojrział pytająco na córkę.

— Jak myślisz, Wandziu? Uprzedzić matkę?

Ciekaw był, jakie wrażenie wywrze wiadomość.

Młoda mężatka, którą niecierpliwość ojca bawiła, nie mając w gruncie nic przeciw temu, odrzekła:

— Jaś prosił...

— Ej! Jaś! Jaś! Co tam Jaś! Mojem zdaniem, trzeba matkę do tego przygotować.

I zwracając się do oczekującej, rzekł głośno:

— Mam dla babci dobrą nowinę... Tylko nie wszyscy powinni jeszcze o niej wiedzieć... Naprzykład Femcia i panna Wala...

— Coś tajemniczego? — zagadnęła półżartem pani Olszyńska.

— Właśnie. Chodźmy tam, żeby przypadkiem kto nie podsłuchał.

Ukazał na sąsiedni pokój. Sam poszedł przodem. Za progiem wypalił prosto z mostu:

— Słodowski wraca. Cóż pani dobrodziejka na to?

Olszyńska w pierwszej chwili spojrzała nań z niedowierzaniem.

— Słowo honoru! Wraca... Jaś pojechał po niego — powtórzył jednym tchem.

— Tak, mateczko, — potwierdziła synowa.

Z ust wzruszonej staruszki wybiegło krótkie:

— Chwała Bogu.

— Kwestja w tem, żeby z tego powrotu skorzystać — przedstawiał teraz Bruzdowicz, ujawszy drżące ręce pani Olszyńskiej. — Pani dobrodziejko, nie będę tał, że mię los panny Wali serdecznie obchodzi... Co tam było między nimi, nie wiem... Ale Słodowski zacności człowiek, prawy, uczciwy.

— Bardzo... — szepnęła staruszka

— Ma pozycję. Kawałek chleba znajdzie wszędzie... Na co tu czekać?

Rozgadał się na dobre, nie szczedząc przekonywających uwag, chociaż nie było potrzeby tego. Pani Olszyńska dziękowała rozrzewnionem wejrzeniem, szepcząc:

— Dałby Bóg! dałby Bóg!

Na więcej nie mogła się zdobyć w pierwszej chwili. Dopiero ochłonawszy nieco, jęła ze wzruszającą otwartością wywnętrzać się z przeżytych utrapień. Wylewała nagromadzone w duszy ból i zwątpienie, ukrywane dotychczas pocziwie nawet przed oczyma najbliższych.

— A co mię najbardziej bolało, że naprawdę do tej chwili nie wiem, co ich poróżniło... Patrzyłam przecie własnemu oczyma... byli z sobą tak dobrze... Walunia naprawdę lubiła Stanisława... Pytałam nieraz Waluni... ale biedne dziecko...

Bruzdowicz zaczął pocieszać:

— Mniejsza o to! co było — to było... Zwyczajnie, jak między młodymi... Dziękujmy Bogu, że marnotrawny syn powraca, i przygotujmy się na jego przyjęcie.

Zaczęto się naradzać półgłosem, jakby sprawą pokierować najlepiej, nie wapiąc o pomyslnym rezultacie.

Tymczasem pozostawiona w samotności, panna Olszyńska przerzucała dzienniki.

Lubiła czytać wogóle.

Nad książką zapominała na chwilę bolesnych wspomnień, niepokojących marzeń i tego żalu, co jej teraz nurtem wypełniał życie.

Gazety pociągały ją również, z przyjemnością też spełniała zwykle funkcję lektorki honorowej, ilekroć się pan Bruzdowicz o czytanie „na głos“ przymówił.

Obecnie, dla ułatwienia, oczekując na słuchacza,

przepatrywała artykuły polityczne. Wzrok jej zatrzymał się na feljtonie, zatytułowanym „Polska Cyrce”.

Zaczęła czytać.

Nagle... przejrzyście-błądą cerę dziewczęcia pokrył szkarłatny rumieniec. Twarz panny Olszyńskiej zaczęła drgać nerwowo, pierś falować gorączkowym odruchem. Zrenicie biegły błyskawicznie po zaczernionych drobnym drukiem szpaltach.

W feljtonie wyczytała historję własnego serca, wyszydzoną, wysmianą, przerobioną na argument polityczny! Autor nie wymieniał wprawdzie nazwisk, lecz opis był tak dokładny, tak drobiazgowy, że...

Uczuła głuchy, tępy ból w skroniach i wstyd. Kruszący, rozpierający całą duszę wstyd!

Zatrzęsło nią febrycznie, złowrogi papier wypadł jej z rąk, i znowu martwa błądź przysłoniła cieniem smutku twarz nieszczęśliwej.

W pannie Olszyńskiej zamarło wszystko. Resztki, okrawki złudnych wspomnień tonęły w głębi bezniernej goryczy, coś przecinało w zranionych jej piersiach jedyną świetlaną nić tęsknoty za nieziszczonem marzeniem, druzgotało wiarę w miłość prawdziwą, sztydziło z zakłęb i przysięg.

I stała długo z przerażającą próżnią w duszy, bez słów, bez jęku, bez ruchu, jak człowiek, który nagle ujrzal przepaść przed sobą.

Wreszcie strumień łez gorzkich zwilżył opuszczone bezwładnie rzęsy, w ściągniętych chmurnie łukach brwi zarysował się odcień dumnego cierpienia.

Schyliła się, podniosła upuszczony dziennik i, złożwszy w kwadrat, schowała za wycięcie stanika.

Z zaciśniętych ust padł wyraz:

— Podły!

I znów potoczyły się z myśli do serca bolesne wspomnienia i rozsypały w duszy, jak paciorki z zerwanego różańca, żal i smutek krwawiący. Uczuła wielkie zimno i wielką pustkę — coś, niby skrzydła

drapieżnego ptaka, biło w jej twarz, przysłaniając świat cały...

W głowie miała chaos przejmujących sykań, szycerzego chichotu, jęklivych szeptów, usta powtarzały:

— Podły! podły! podły!

Walczyła z własną duszą, z własnem sercem, bez sprzymierzeńca.

Bo oto opuściły ją wszystkie wierzenia, wyczuwane złudy, a przed oczyma stała naga, oślepiająca prawda i błąd, i pokuszenie, i olbrzymia trwoga przed koniecznością pokuty, do której przyłączała niepochwytne poczucie bezmyślnego pokrzywdzenia drugiej jeszcze duszy, pojęcie cudzych cierpień bez winy...

Osunęła się bezwładnie na krzesło.

Wstyd i żal potężniały aż do zastoju myśli, do tego zastygu cielesnych wzruszeń, w którym rzeczywistość przeradza się znów w senny wir majaczących bezkształtnie wrażeń, a w biczowaną duszę spływa kojąca cisza, nieczułość i mrok.

Minuty płynęły... ulatywały, a z niemi pierzchało z piersi panny Olszyńskiej jej dawne „ja“, rodziło się błagalne pragnienie zapomnienia „wczoraj“ — i skrucha ukojenia.

Jeszcze jeden dreszcz przeszył jej ciało, a potem spłynął spokój cichego smutku.

Z drugiego pokoju doleciał wesoły głos Bruzdowicza:

— Panno Walo! czytanie przepadło! Obiad na stole...

Powstała z wysiłkiem i, zmuszając się do uśmiechu, pośpieszyła na wezwanie.

— Czytanie przepadło! — powtórzył żartobliwie Bruzdowicz, podając jej ramię.

— Przepadło — odpowiedziała jak echo.

Serce jej biło; pierś czuła ukryty zwitek papieru, jak kołący cierń, świeżo wydobyty z rany...

XI.

Szczeńciem dla Wali, nikt przy obiedzie nie dostrzegł niezwyklej zmiany, jaka zaszła w obliczu dziewczęcia. Zajęci niespodzianką, biesiadnicy nie zauważyli ani podkrążonych siną obwódka oczu, ani nienaturalnej, sztywnej powagi.

Mówiono zresztą mało, śpieszono się z jedzeniem, jak to zwykle bywa w chwilach gorączkowego oczekiwania na coś lub na kogoś. Wszyscy siedzieli, jak na szpilkach.

Nawet gadatliwa zwykle ciotka Eufemja, chociaż jej tajemnica nie ciążyła, zirytowana przypaleniem szarlotki, nie miała chęci do rozmowy.

Kończono obiad w milczeniu, gdy rozległ się turkot wózka.

— Jaś i ktoś drugi! — wykrzyknął Bruzdowicz, zrywając się z krzesła z takim pośpiechem, że obrus za sobą pociągnął. Pani Olszyńska, instynktem matczyńskim wiedziona, powstawszy, zbliżyła się do Wali. Chciała coś powiedzieć, uprzedzić, ale w tej chwili rozwarły się drzwi i do pokoju wpadł Słodowski...

Błady jak ściana, z roziskrzonym wzrokiem biegł i chwycił w przelocie napotykanę dłoń, ścisnął, całował, skakał jak piłka od jednych do drugich, rzucając przez łzy:

— Moi państwo! moi kochani państwo!

I znów ponawiał uściski i pocałunki, nie patrząc nawet w twarze witanych.

Zapanowała chwila zbiorowego rozczulenia. Podniósł się pogwar serdecznych wykrzykników, pytań tych słów, które samym dźwiękiem mówią... Górował nad wszystkimi głos Bruzdowicza, który, trąc ręce i klepiąc przybitego po ramieniu, wykrzykiwał:

— Wiedziałem, że wrócisz! wiedziałem! Ho! ho!

I pociągał nosem z głośnem sapaniem, bo mu łyzy świdrowały w krtani.

Wreszcie minął pierwszy poryw. Oczy wszystkich skierowały się bezwiednie na Walę, do której z widoczną niesmiałością zbliżał się teraz Słodowski. Szedł półkrokami, z głową wtuloną w barczyście ramiona, z zapartym oddechem.

W źrenicach panny Olszyńskiej łamała się dusza. Na bladą twarz wystąpiły gorączkowe wypieki. Mentalnie cofnęła się w tył, jakby w zamiarze ucieczki, a potem wyciągnęła przed siebie obie ręce i z niezmierną tkliwością szepnęła:

— Panie Stanisławie, panie Stanisławie!...

Przyłgnał do wyciągniętych dłoni i, nie panując dłużej nad sobą, zaszlochał na cały głos.

Nagle trzymana w uścisku ręka Wali wysunęła się pośpiesznie i drżące usta panny Olszyńskiej dokończyły:

— Ja pana winnam prosić o przebaczenie... ja... ja... panie Stanisławie...

Błyskawicznie obrzuciła wzrokiem obecnych. Wyraz szlachetnej pokory zajaśniał w załzawionych źrenicach. Uklękła przed matką.

Słodowski szepnął:

— Pani moja, Walu!

I runął również do nóg staruszki.

Ale w tej chwili Wala porwała się z kolan i ze spazmatycznym płaczem wybiegła z pokoju.

Stało się to tak szybko, że nikt nie zdołał przemówić słowa.

Słodowski dzwignął się z kolan, powiódł nieprzytomnemi oczyma wokół, błędąc i trzęsąc się febrycznie. Straszliwa niepewność pozbawiła go ostatka woli. Stracił głowę.

Wszyscy zresztą byli nad wyraz zakłopotani wzruszeni, gdyż, aczkolwiek spodziewano się czegoś podobnego, nie sądzono jednak, aby to się stać mogło

zaraz i w tak niezwykle wstrząsający sposób. Rozrzewniająca scena zaskoczyła wszystkich tak niespodziewanie, że chociaż wypowiedziane przez Walę słowa i jej ucieczkę rozumiano, jako nadmierny wylew dziewiczej tkliwości, wywołanej nastrojem chwili, niemniej w pierwszej chwili nikt naprawdę nie wiedział, co dalej począć.

Bruzdowicz pierwszy przyszedł do siebie.

— Masz tobie! drapnęła — zawołał z prawdziwym przejęciem — drapnęła! Uciekałeś i ty, gońże teraz — dokończył, popychając zlekka chemika, który, przerażony niejako zuchwalstwem swego uczynku, stał jak skazaniec, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca.

Ten spojrział błagalnie najpierw na zapłakaną staruszkę, potem na Olszyńskiego, jakby ich pomocy i rady wzywał.

Jednocześnie pani Janowa ruszyła szybko ku drzwiom, w zamiarze pobiegnięcia za Walą, zaś pani Eufemja, trochę gniewna, że jej o przyjeździe chemika nie uprzedzono, zwracając się do starej Olszyńskiej, zaczęła tonem wymówki:

— Niechże pani co odpowie... głos matki... A do Słodowskiego:

— Taki to już panieński zwyczaj... Jak przyjdzie do wyznania...

Uderzyła rękoma po sukni, z grymasem zażenowania na ustach.

Bruzdowicz, kończąc, przerwał:

— Goń! łap! przyprowadź i koniec! Patrz, matzysko od łez mówić nie może.

— Chodźmy, panie Stanisławie, — odezwała się ode drzwi młoda Olszyńska, wyciągając z oddalenia rękę.

Milczący dotychczas Jan podsunął się szybko do żony.

— Zostań, Wandziu! — przemówił półgłosem — najlepiej porozumieją się sami.

Poczem, zbliżywszy się do przyjaciela, rzekł, starając się nadać słowom jak najweselszy odcień:

— No, Stachu! „Uciekła mi przepióreczka w proso, a ja za nią nieboraczek“...

Objął go wpół. A w duchu, nie bez pewnej chęłliwości, pomyślał:

„Dziwna natura!... Z pozoru twardy, jak krzemień, a z kobietami mazgaj... Już ja lepiej dawałem sobie rady“...

I spojrzął z lubością na żonę.

Potem zaś, zmieniawszy ton, zaczął poważnie:

— Mój Stachu! Mama i ja...

Lecz pan Bruzdowicz, u którego pierwotne zambarasowanie już przeszło, przerwał, żartobliwie przedrzeźniając:

— I ja... i Wandzia... i ciotka, a tymczasem panna drapnęła! Nie trać-że czasu! kuj żelazo póki gorące... Na co tu czekać?! Jak Boga kocham! to przechodzi pojęcie! Jazda, desperacie!

Ukazał wiodące do ogrodu drzwi.

Oszołomiony Słodowski spojrzął pytająco na Jana, na panią Olszyńską. Przygnębiona przed chwilą twarz rozjaśniała odbłyskiem szalonej radości. Sięgnął do kolan staruszki i zapominając się, podskoczył w górę jak żrebak i popędził.

Jan z żoną przypadli do rąk matki, która, chyląc siwą głowę, zdawała się modlić duchem, choć usta szeptały:

— Kiedy doprawdy nie pojmuję Waluni... kochali się przecież od dawna...

— I będą się kochali, babciu, będą — zawtórował Bruzdowicz — będą wnuki... wnuczki... Jasiu! Wesele w Bruzdowie, ale ty musisz szwagrowi wyrobić posadę... Ja bez panny Wali ani rusz! któżby mi od czasu do czasu gazety czytał?

Stanęli grupą we drzwiach, oczekując z bijącym sercem powrotu tych dwojga.

Jan opowiadał o Słodowskim.

.....

A „ci dwoje“ znaleźli się niebawem.

Panna Olszyńska, wybiegłszy do ogrodu, padła na najbliższą ławkę bez czucia, jak liść gwałtownym wichrem strącony...

Wielki wysiłek, na jaki się w pierwszej chwili zdobyła, wyczerpał ją doszczętnie. Czuła, że słabnie, że lada chwila opuści ją reszta przytomności. Bezsilna, drżąca, próbowała zebrać rozpierzchłe myśli...

Płynęły huraganem.

W skołatanej wyobraźni dziewczęcia przesuwali się cały kalejdoskop marzeń, chęci, uczuć, nadziei, oczekiwań, wszystkie wydzwonione tętna serca odzywały się echem, wszystkie pragnienia łkały...

Kłębowisko szarpiących targnięć wiło się w pierś, szukając ujścia, tysiące poplątanych dźwięków szumiało w skroniach...

Przymknęła powieki... Przez chwilę świat przestał dla niej istnieć. A potem rozchyliła pełne łez źrenice... nagle ruchem wydobyła ukrytą w wycięciu stanika gazetę i z głuchym westchnieniem szepnęła:

— Trzeba... skrzywdziłam!

Powstała i z pośpiechem niezłomnej determinacji zaczęła iść z powrotem ku dworowi.

Nogi się pod nią gięły, ale w twarzy świeciła moc silnego postanowienia. W myśli tkwiło teraz jedno tylko pragnienie: wynagrodzenia krzywdy.

Wtem z bocznej, obrosłej grabiną ścieżki doleciał szmer śpiesznie stawianych kroków, mignęły wymachujące w powietrzu ręce i płowa przyszyrzyżona czupryna...

W oddaleniu kilku kroków biegł Słodowski z obli-

czem promiennem. Gestykulował, rozmawiając z samym sobą... Ujrzał Walę, na chwilę jakby zatrzymał się w chodzie, a potem jeszcze szybciej podbiegł na przelaj i przystanąwszy w oczekującej postawie, zaczął:

— Wysłano... mię... po panią...

Głos mu się splątał. Skrzyżowali wejrzenia. Na chwilę zaległo milczenie. Zrenice panny Olszyńskiej błysnęły niezwykłym ogniem, pierś podnosiła się i opadała ciężko.

— Panno Walu! — szepnął.

Podsunała się bliżej. W matowo-bładej twarzyczce nie drgnął ani jeden muskuł.

— Panie Stanisławie! — przerwała cichym, przerywanym głosem. — Ja wiem wszystko!... Ja proszę... ja bardzo pana chciałam widzieć... ja...

Wyciągnęła rękę z trzymaną gazetą.

— Ja wiem wszystko! — powtórzyła. — Ja złem płaciłam za tyle... tyle...

Załkała i zaczęła mu wciskać zmięty kurczowo dziennik.

Cofnął się w tył i z nietajonem zdziwieniem spytał:

— Co to? co to jest, panno Walu! ja nie rozumiem... Ja nic... nie wiem...

— Moja spowiedź! — wygłosiła z trudnością, czepiając się jego ramienia. — Moje winy... miłość pana Kurzbacha — dokończyła szeptem gorczy. — Pan Kurzbach opowiedział... opisali — objaśniała jednym tchem. — Ja teraz wiem wszystko! ja muszę z ust pańskich usłyszeć...

Pochyliła się... zatoczyła...

Powstrzymał ją ramieniem... ukląkł. Usta jego znalazły się u nog Wali...

Całował bez przerwy. Ona nie mogła się bronić, bo w tej chwili ogarnęła ją jakaś upajająca słodycz bezwładny, zgoiła żale, ból, wstydlivość wszelką, ja-

kaś niebiańska jasność rozświeciła umysł i serce, w której rozplynęła się jej dusza zboląła w bezkres kojącego wytchnienia i nadziei...

On zaś, klęcząc, szeptał bezładnie:

— Pani moja! Panno Walu... Wy sami nie wiecie... co ja bym!... Ja chłop... drąg zwyczajny... Ja duszę! życie... Ja nic nie wiem... Ja tylko bardzo... Kocham, pani moja!

Rzucił zmięty dziennik w gąszcz krzewów i zrywając się z kolan, zawołał:

— Król nie jest szczęśliwszy!

— Chodźmy do mamy — wyrzekła tonem prośby, podając mu rękę.

Po chwili przed płaczącą z wielkiego szczęścia staruszką klęczało „tych dwoje“.

— Niech Bóg wiekuisty błogosławi wam... dzieci moje!

Najbliższej niedzieli zaroilo się w Brzostowie.

Pan Bruzdowicz, według zapowiedzi, wyprawiał sute zaręczyny, zaprosiwszy na tę uroczystość kogo się dało. Przyjechał pan Wyremba z córką, państwo Skuraczewscy, Jagłowscy i najbliższe sąsiedztwo w komplecie.

Ciotka Eufemja wystąpiła z paradnym obiadem, a że się wszystko, aż do leguminy z cyfrą narzeczonych, udało, więc zachęcając, dokładała własnoręcznie potraw na opróżnione talerze, dbając przede wszystkim o Słodowskiego. Ten zaś sądził, że wypada mu teraz być we wszystkim posłusznym, więc jadł za trzech, co mu tylko podsunięto.

Gospodarz w złotym humorze, wznosząc toast „kochanej młodej pary“, sięgnął aż do czasów biblijnych.

— Wprawdzie Jakób na Rachelę oczekiwał lat

siedm, — mówił, dzwoniąc w kieliszek, zwrócony do Słodowskiego — a ty, Stachu, tylko dwa z okładem... lecz, że się bardziej nie kochali, ręczę! Zresztą, nie dziwię się, że tobie było pilniej, niż pra-praszczurowi... W wieku pary i elektryczności ze wszystkim śpieszyć się trzeba, — żartował, starając się utrzymać w poważnym tonie. — Żyjemy wogóle szybciej, prędzej... Matuzal w moim wieku jaskółki w lot strzelał, a ja... do kłótni z Bismarckiem muszę używać okularów, bo pannie Wali teraz nie polityka w głowie!

Posypały się jeszcze życzenia, powtórzyły błogosławieństwa...

Przed wieczorem całe towarzystwo wyruszyło na spacer. Wybrano się ku niedalekim brzegom Wisły. Królowa rzek polskich płynęła złotem. Zachodzące słońce lało strumieniem metalicznych barw po łusce wodnej. W nadbrzeżnym wiklu ćwierkało wodne ptactwo, kępy olbrzymich białodrzewów i rosochatych topol obsiadł klekot bociani.

Szli, rozmawiając. Nagabywany ustawicznie Olszyński, opowiadał już raz, nie wiem który, o Słodowskim, który, nie tając przed przyjacielem, że powodem opuszczenia fabryki przed dwoma laty było zajęcie z Kurzbachem, ukrył jednakże prawdziwą tegoż przyczynę.

Swoją drogą Jan domyślał się czegoś, bo właśnie, odpowiadając na pytanie pana Skuraczewskiego, mówił:

— Mnie się jednak zdaje, że poza tem musiało być między nimi coś innego jeszcze. Prawdopodobnie Kurzbach przy Wali przyciął Stachowi, a że mieli z sobą dawno na wątróbce... ten wziął do serca i...

— To! to! to! — potaknął Bruzdowicz. — Uważałem, że Kurzbach nieraz przysiadł się do Wali, co Słodowskiego musiało złościć. Tylko mruk! gryzł się do czasu... aż wybuchł.

— *Cherchez la femme!* — wtrącił jowjalnie pan Skuraczewski.

W tej chwili jakiś głos obcy zabrzmiał w pobliżu. Idące przodem kobiety przystały.

Brzegiem Wisły biegł z gołą głową chłop siwy. Machał trzymanym w rękę kijem i wykrzykiwał dziko. Włosy wicherzyły mu się w biegu, lśniąc w odbłasku zachodzącego słońca, jak płonąca pochodnia.

Zobaczywszy idących, zwolnił kroku. Olszyński, przyjrawszy się, rzekł:

— A... to ten biedny Smak... Wziąłem go z powrotem do fabryki, ale do reszty zwarjował i uciekł. Wyobraźcie sobie państwo, co wieczór biega nad Wisłę z kijem... Uroiło mu się, że jest stróżem, któremu kazano pilnować, żeby Niemcy nie wrócili... Zresztą bardzo spokojny obłąd.

Słodowski powtórzył:

— Smak?... Maciej Smak... przypominam sobie... — I zamyślił się.

Stary chłop szedł prosto ku nim. Poznał Olszyńskiego i skłonił się dłonią do ziemi.

— Cóż tu robicie, Macieju? — spytał Jan.

— Stróżuję, wielmożny panie! Stróżuję — ukazał ręką na rzekę — Miemcy psiawiary mogliby się nocą przeprowić... Panowie będą spali... Ale niedoczekanie ich! niedoczekanie! Nie puszczę! nie puszczę!!

Potrząsnął groźnie kijem i począł bieć w poprzednim kierunku.

Za chwilę znikł z oczu.

— Biedny człowiek! — szepnęła Wala.

— Nieszczęśliwy! — odrzekł Słodowski, niepomału wzruszony.

A pan Skuraczewski, który lubił przy sposobności pozować na statystę, rzekł:

— Odwieczna rasowa walka! Płowce, Grünwald, a dziś nienawiść tego chłopca z jednego źródła biorą początek!...

— Z krzywdy i uciemnienia! — wybuchnął chemik porywczo.

— Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem — podchwycił z żywością Bruzdowicz. — Kiedy to tam ta nasza Wisła słyszała:

Wanda leży w naszej ziemi,
Co nie chciała Niemca!...

— Prawda?

Jakby w odpowiedzi, od wioski rozbrzmiał śpiew. Piosenka dźwięczała:

Matko Boska Polska ochraniaj Polaków,
Tych przybłądów Szwabów powrzucaj do krzaków.

— Słyszycie? — zawołał, ukazując ręką ku rodzinnemu gniazdu.

Echo niosło... „do krzaków! do krzaków!“

— Jak świat światem! — powtórzył stary szlachcic raz jeszcze.

Silniejszy wiatr poruszył gałęziami odwiecznych białodrzewów. Kiwały wierzchołkami, jak starce na wiecu, szumiąc w takt:

— Juści... juści!

Wali zrobiło się czegoś przykro, przylgnęła trwożliwie do ramion narzeczonego.

K O N I E C .



346346

Biblioteka Główna UMK



300020501243